

Zygmunt Cierliński

Na wygnaniu w skierniewickiem



Przasnysz - 1900

Zygmunt Cierliński

Na wygnaniu w skierniewickiem

Honryla Karsenk
attor Zygmunt Cierliński

Przasnysz - czerwiec 1995

© Zygmunt Cierliński

Projekt okładki: Grzegorz Safinowski

Korekta i skład: Grzegorz Safinowski

Autor i Wydawca dziękują wszystkim, którzy w miarę swoich możliwości przyczynili się radą i pomocą do powstania tej, jednej z nielicznych na tym terenie, publikacji.

Wydawca: Wydawnictwo Techniczne
06-300 Przasnysz, ul. Mostowa 8.

ISBN 83-900614-3-0

Wstęp

Zacznę najpierw o dobrobycie w drugiej Rzeczypospolitej, od szkolnictwa w domu. Moja rodzina składała się z dziesięciu osób, to jest dwojga dziadków, rodziców i sześcioro dzieci. W roku 1936, w wieku szkolnym było nas czworo, trzy siostry; Aniela, Jadwiga i Stasia i ja najstarszy w rodzinie - Zygmunt. Szkoła powszechna była w Grądach, czterooddziałowa w prywatnym domu u pana Antoniego Kłyszewskiego. Nauczycielką i wychowawczynią była Liliana Majkowska z Rogowa, gm. Płoniawy. Do szkoły ześmy mieli blisko, ze sto metrów. Inne dzieci miały i po kilometrze, z Gajówek i Sławk.

Rano śniadania ześmy nie jadal, bo jeszcze mama nie zdążyła kartofli z kapustą lub jakimś barszczem ugotować, tośmy wpadali w pauzę, mama nakładała na glinianą miskę, bo takie były robione w Krasnosielcu przez pana Buczkiewicza. Miał warsztat gliniarski, robił miski do jedzenia, dwojaczki do jedzenia na polu, wazony do kwiatów, dzieżki do mleka, dzbanki do kawy i różne podstawki. To jak mama na tę glinianą miskę nałożyła kartofli z kapustą z grzybami, albo ze starym sadłem - jak się wpadło to tylko łychy grały. Czy gorące, czy ciepłe - w czasie pauzy trzeba się było wyrobić, bo prędko nie pobiegł w drewniakach w zimę. Jak była goło mroźna to jeszcze jakkolwiek, ale jak śnieg i jeszcze mokry - to się przylepiało do drewniaków, że było ciężko „lecieć” do szkoły. A zimy były śnieżne i mroźne...

Przybory szkolne, skrzynka na książki i zeszyty zbita z deseczek gwoździami, na jakichś sznurkach na plecy, piórnik z deseczek, obsadka robiona sobie z patyka, ołówek. Jak nas chodziło czworo, to był przekrojony na czworo, bo każde musiało mieć jeden zeszyt do rachunków, polskiego, rysunków i geografii. Zeszyt kosztował 8 groszy, ołówek 10 groszy, stalówka - dwie 5 groszy, kątomierz 10 groszy, ekierka 10 groszy, cyrkiel też 10 groszy. Atrament kupowało się u pani, nalewała w kałamarz do domu, a w szkole były kałamarze w ławkach, jak się wypisał to pani napelniała. Było najgorzej, jak zeszyt się zapisał i trzeba było iść do taty żeby dał na nowy. To się przedeptywało przed ojcem nim się powiedziało o te parę groszy, bo tatuś trzymał kasę, ale co to była za kasa jak miał złotówkę w portfelu... Te grosiki dłużył, trzymał w zębach i je rachował. Nieraz było mu widać łzy w oczach, bo rad dać na ten zeszyt czy ołówek, a nie miał. A tatuś dobrze wiedział, co znaczy szkoła, bo za cara skończył gminną szkółkę. Czterema obcymi językami się posługiwał tak w czytaniu jak i pisaniu, polski, ruski, angielski i niemiecki, a nie mógł się z biedy do wojny wygrzebać. Takie były ciężkie czasy przed wojną dla szkolnictwa.

Tatuś sprawdził zeszyt, czy był dokładnie zapisany od deski do deski razem z okładkami. Ołówek - czy jeszcze się trzyma w gilzie karabinowej. Stałówkę podgiął - czy jeszcze pisze i do szkoły trzeba było iść. Niech byś urwał się z jakiejś lekcji, a zobaczył, że się wcześniej przyszło - to nie bił, ale ci tyle natłumaczył, że się odechciało wcześniej przyjść.

Ubranie - wszystko swojej roboty. A mieli wszyscy i dziewczyny, i chłopaki - od koszuli, kalessonów, marynarki, spodni, że wiatr na kilometr każdego przewiał, bo się w tym ubraniu nigdzie nie zatrzymał. Tak chodziły małe dzieci, młodzież szkolna i starzy gospodarze i dziadkowie. W każdym domu kobiety miały kółka, przędły len, robiły krosna i się w to płótno ubierały całe rodziny. Do kościoła to trochę lepsze z towaru kupionego uszył jakiś tani krawiec, że w tych ubraniach i paltach to chodzili starsi ludzie po dwadzieścia lat i więcej. Przyszedł z kościoła, wytrzepał, powiesił na gwoździu, jakąś płachtą nakrył żeby się nie niszczyło i nie mogło się niszczyć, bo nie było za co drugiego kupić. A było na sprzedanie różnych materiałów, Żydzi handlowali. A buty, jakie mieli mocne, po trzydzieści lat chodzili, ale szli boso do kościoła tak kobiety jak i chłopcy. Buty na plecach zanieśli, przed kościołem się obuwali, w kościele postali w butach, a wyszli - boso do domu przychodzili. To i buty były mocne, czyszczone sadzami. Tymi, co się garnek w kuchni osmolił.

Dzieci, co chodziły do szkoły, jak się zeszły, to mówiły kim kto będzie jak urośnie. Myślało się, że kiedyś się polepszy. Będzie się kimś na stanowisku, ładnie ubranym, i coś lepszego się zje. A było już trochę widać komu się lepiej powodzi. Dzieci gajowych były lepiej ubrane, nauczycieli, tych którzy pracowali na państwowej robocie. Było na nich znać, ale tych, którzy byli na tych morgach paru lub wyrobników, bo tak się mówiło na robotników, to się z daleka odróżniało. Każdy był ciekawy wiedzy, skąd by przyszła, żeby coś się polepszyło. W długie jesienne i zimowe wieczory schodzili się sąsiedzi. Sąsiadki z kółkami przędły len na odzież. Sąsiedzi opowiadali o różnych wojnach, o wojsku, gdzie któremu przypadło. Najwięcej o strachach, gdzie, kiedy i jak straszyło. W pszczyliku się świeciło. Był to kałamarz. Wlało się nafty i knot się pszczył. Dymiło się, ale innego światła nie było. Jak kto mógł dobrze kłamać, dobrze zmyślać, to się wierzyło, że to prawda i jak tam jest dobrze. Tylko tu gdzie my jesteśmy i żyjemy jest bieda. I się myślało, że jak się urośnie, to się swoim losem pokieruje. Tak jak ten a ten sąsiad, co był w mieście, w wojsku, czy na wojnie i dużo o niej wie.

Tak zeszła zima i lato, druga nie była lepsza. W lato boso, pod stopami odbitki co się odbiło o jakiś kamień. Na wierzchu posiekane od rosy i nie my-

cia. Nieraz aż się strupy robiły na nogach. Kto miał pomóc? Pan Bóg wysoko, rząd daleko. Najwięcej to księża na kazaniach mówili coś z polityki. Nieraz ktoś kupił gazetę, świąteczną taką. Nazywała się „Rycerz Niepokalanej”. Każdy był ciekawy, ale nie było komu czytać, bo nie umieli starzy, młodzi się wstydzili, że nie czytają płynnie. Był jeden co dobrze czytał, Stanisław Lesiński. W 1914 roku z rodziną był na ucieczce w Rosji, chodził do ochronki i tam się nauczył czytać i pisać. Jak przeczytał jaki urywek, to trzy razy go powiększył, rzeczowo przetłumaczył. Tylko wszyscy głowami kręcili i podziwiali, co było napisane i jak on umie dokładnie opowiedzieć.

Już się zbliża koniec lat trzydziestych. Dużo powraca z emigracji ludzi, którzy byli na robotach we Francji. Trochę wyjeżdżają na robotę na Łotwę. Niektóre rodziny, które przyjechały z tej Francji gołe bez grosza, żadnego sposobu do życia nie miały. Między innymi do mojego ojca przyszli na pokomorne. Granoszewski Kazimierz, rodak z Krasnosielca, żonę znalazł w tej Francji. Rodaczka z Zawiercia, Irena miała na imię, dwie córki Jadzię i Wandzię od roku do pięciu lat. Kazik płynnie mówił. Chłop przyjechał ze świata, chociaż biedny, ale miał coś do powiedzenia to każdy chętnie słuchał. Trochę się załapał w Nadleśnictwie Sławki, skrobał żerdzie, żeby się korniki łapały. Łóżko zrobił z drążków dla całej czwórki. Jak poleciał do Krasnosielca po chleb, to za ostatnie grosze kupił gazetę i mojemu ojcowi tłumaczył; panie gospodarzu wiosną będę z karabinem latał, wojna tylko wisi, tak dłużej być nie może, ja muszę walczyć żeby sobie trochę ten byt polepszył. A ludzie z kościoła przychodzą i też jedni drugim opowiadają, co ksiądz Stefan Morko dzisiaj mówił na kazaniu, jakich my mamy sąsiadów, którzy tylko na nas czyhają, jak nam zadać najskuteczniejszy cios. To jest ZSRR wschód i Hitler zachód. Na sali parafialnej w Krasnosielcu jest radio na głośnik. Wiadomości coraz więcej, tylko niepocieszające. Hitler zabiera Czechosłowację, Polska łapie Zaolzie, Hitler bierze Kłajpedę. Coraz smutniejszy wiatr wieje z zachodu, a pan Kazimierz tylko ręce zaciera jak będzie trzymał karabin, z którego będzie strzelał i bił, i bił...

Kobiety pod krzyżami odmawiają różańce, śpiewają suplikacje: "od krwawej wojny zachowaj nas Panie". Chłopi zbierają się większymi grupkami, opowiadają sobie o wojnie i cudzie nad Wisłą, że wtedy w roku 1920 było kruczo, a taki ksiądz - Ignacy Skorupka, z krzyżem w ręku pogromił bolszewików. Chociaż zginął sam, ale jaki był wtedy duch w żołnierzach naszych i bolszewicy uciekali, gdzie kto mógł. Może i w tych czasach Pan Bóg takiego chrześcijańskiego narodu, jak Polska nie opuści. Tyle było różnych wojen i żeśmy nie zginęli, to może i teraz tak strasznie nie będzie. Pan Bóg nad wszystkim.

Higiena i zdrowotność

Jak to teraz reklamują proszki do prania, różne pasty, szampony i mydła, jak który proszek zmiękcza wodę do prania, to ja pamiętam jak było przed wojną. W gorącą wodę odsieli popiołu z drzewa liściastego, bo on jest biały, zagotowali i w tej wodzie prali. Łachy były gotowane, na stół i kijankami trzepane przy studni lub jakiejś sadzawce. Tylko echo szło po wsi. Powieszone na płot wyschło. Wałkownicą, po stole pokulgano i dobre na plecy. Wielkich zapasów tej dawnej bielizny nikt nie miał. Później nastały te tary, to już kobiety mówiły, jaka to wygoda prać na tarze. Tak były prane przedziona, płótna, które były zrobione na krosnach. Płócien było trzy gatunki, lniane płóciennie i workowe. Lniane na koszule, pościelowe. Płóciennie - na spodnie, marynarki i majtki kobietom i pannom. Zapinane na klapę lub oszywane w pasek i na troki.

Lecznictwa we wsi nie było. Jak się znalazła babka, która zajmowała się leczeniem - pomagała w różnych wypadkach. W mojej wsi była Kukawka Katarzyna. Leczyła różnymi ziołami, różne robiła maście, naprawiała różne skręcenia rąk lub nóg a nawet i połamanie kości. Nieraz się udawało jak Pan Bóg pomoże. Odbierała i porody. Trafiały się i po dwa na raz. Jak nie wyszło to się obwiniało, że Bóg nie pomógł i ktoś nie był godny.

Trzeba wiedzieć, jakie były choroby przed wojną. Największa i zaraźliwa to suchoty, czyli gruźlica. Umierały na nią całe rodziny i przeważnie ludzie młodzi. W mojej wsi rodzina Baćków składająca się z osób sześciorga, to jest ojców i czworga dzieci. Dwie córki były już zamężne. Poumierały z tymi swoimi mężami. Druga rodzina, pięć osób, nazywała się Frąckowiki. Mąż i dzieci umarli, a żona żyła 80 lat. Dwie pary narzeczonych. Marysia Jakubczak i Czesław Kuś mieli już się żenić. Pierw ona, a potem za jakiś czas on też umarł. Dużo kawalerów i panien ta choroba zabierała do ziemi. Nie była leczona, no i za co było leczyć...

Druga choroba na oczy, dawniej mówiło się katarakta, a teraz jaskra chyba. Z oczu łzy leciały. Coś na oko zachodziło i ślepotą. Był jeden chory, Czesław Rączka, to się jakoś załapał do szpitala w Warszawie na ulicę Smolną. Tam był szpital, gdzie leczyli na oczy. Pobyl trzy dni, trzeba było płacić 7 zł dniówki. Poszedł na piechotę do tej Warszawy i przyszedł. Nic mu nie polepszyło się, bo nie miał pieniędzy. Żył, ale słabo widział. Weronka Józefska, miała czworo dzieci, wdowa, była całkiem ociemniała.

O nowotworach było mało słyhać. Tylko jak chłopaki szły do wojska, to ich ktoś z oświeconych upominał żeby w wojsku się nie zarazić chorobą

francuską, to jest chorobą weneryczną. Jak już byłem w tych Skierniewicach, byliśmy objęci leczeniem. Chodziło się do gminy i dostawało się kartkę od wójta. A w tym czasie był Kazimierz Łodzki. W ośrodku zdrowia. Pierwszy raz widziałem prawdziwego doktora i pielęgniarki. Przyjmowali w różnych specjalnościach.

Jak to się teraz walczy z makiem, jaki to jest straszny narkotyk. Pamiętam, że przed wojną, to wszystkie matki poily dzieci makowiskiem. Kto tam się z dzieckiem cackał. Nie miał czasu, rodzina szła na pole i łąki, chłop kosę i bujawkę na plecy. Bujawka (koza) była lepiej z metr długa, w grubym drążku cztery dziury wywiercone świdrem, nogi z leszczyniaka. Kobieta dziecko, płachtę do bujawki, jakieś łachy, butelkę z makowiskiem i poszli na pole robić. Dziecko spało parę godzin, w robocie nie pszeszkadzało. Miało mokro, aż powypierało w pachwinach. Na to była zasypka - próchno z drzewa lub w lecie puszczony na siennik. Takie dziecko płakało nieraz w nocy. Dostało makowiska i spało dalej. Mnie jak moja matka napoiła, tom spał dwadzieścia godzin, aż robili sztuczne oddychanie. Tak mówili, że po makowisku dziecko nie jest zdolne do nauki i nie ma pamięci, a ja byłem zdolny i teraz mam dobrą pamięć.

Tak robiły wszystkie matki na wsi. A jak chłopcy swoje żony biły, to po tygodniu zsiniacone chodziły, na twarzy i plecach. A za co? Za to, że zachodziły w ciążę. Nie było żadnej higieny ani świadomego macierzyństwa tylko piącha, albo kij. Jest już dzieci z osiem, a tu masz, znów dzieciak, nieprzyjemna sprawa, temat. Wtedy żona sąsiadce tłumaczyła; a to się przewróciła, a to ją krowa rogiem uderzyła. Za jakieś dwa miesiące brzuch wyłazi. Nie rozwodzili się i o alimenty nie skarżyli, bo był grzech, ksiądz by nie dał rozgrzeszenia. Dzieci były szczepione tylko przeciw ospie. A jaki był kaszel, kszusiec, heine-medina, gruźlica. Po wojnie już dzieci były szczepione przeciw tym chorobom i wielu innym.

Doktor był Jan Borecki w Krasnosielcu, ale podobno żądał dwa złote. Szpital w Przasnyszu, cztery złote dziennie i trzeba było z góry zapłacić za dziesięć dni. To kogo było stać? Nikt nie miał pieniędzy. Musiał wolniej konać, to był szczęśliwy w niebie.

Tak samo weterynaria. Było w mojej wsi trzech. Dwóch Brysków, jeden Seweryn, a drugi Paweł i Antoni Maluchnik. Oni pomagali, gdy się nie mogła krowa ocielić. Kastrowali ogiery, wieprzki i byczki. Każdy miał swój teren do roboty. Jak tylko przyszła wiosna, ruszali od poniedziałku do soboty. Mieli rowery i do tego przybory potrzebne do roboty, tak że tygodniowo zarabiali i trzydzieści złotych. Jednego razu, opowiadał Paweł Bryska, kastruje ogiera

gdzieś koło Zdziwuja. Po robocie przychodzi do niego sąsiadka tego gospodarza, co konia kastrował i pyta czy by jej coś nie pomógł. Ma dużą ropną ranę na udzie, zawiniętą szmatą. Każe odwinąć i się nie namyśla tylko smaruje tą swoją maścią, co używał do kastracji. A maść była taka: siny kamień, jakiś tłuszcz i świerkowa żywica. Jak posmarował jej tą maścią - to kobieta w krzyk, bo to mocno ją paliło. A on na rower i chodu! Bał się żeby mu mąż tej kobiety z innymi nie natłukli. W tamten rejon nie pokazywał się lepiej ze dwa lata, bo się bał. Ale często jeździł do Chorzel na jarmarki i się spotykał ze znajomymi. Proszą go żeby przyjechał do swojej roboty, bo się uciulało. Pod strachem tę wieś omijał i tego sąsiada. Ale dowiedziała się ta kobieta, co ją tak maścią posmarował. Patrzy się na nią a ona z daleka się uśmiecha i pokazuje tę nogę. Jest zagojona, nie może się odwodzić, że jej pomogło. On mówił że tylko zażartował, a że się udało to chwala Bogu. Ropień miała siedem lat. Różne babki leczyły, wróże i znachory, a on z żartów ją wyleczył.

Do mojej wsi przyjechało dwóch jagodziarzy po jagody. Jeden Rybacki z Krępy, a drugi Krawczyk z Lipy. Kupowali na kociołki, takie ruskie z wojny, a sprzedawali na litry w Ciechanowie. Przyjeżdżali dwa razy w tygodniu. Mieli takie skrzynie i kuferki. Sypali i całą noc jechali do Ciechanowa na targ. Kobiety, co zbierały jagody, jak sprzedawały, to już za te parę złotych przednówek przeżyły całe rodziny. Tak było w Grądach, Karolewie, Lipie i wszystkich wsiach znajdujących się blisko lasów. A jagody się w tamtych latach rodziły, bo były stare lasy i gęste. To nie to, co teraz rosną. Zagajniki dziesięć lat, to głowy nie można było wsadzić. Teraz to można wozem wracać.

Na wsi jak i w mieście jadało się dużo kartofli. Co najmniej dwa razy dziennie po dużej misce bucikiewickiej, bo takie były kupowane od garncarza w Krasnosielcu, który nazywał się Bucikiewicz. Dużo kapusty gotowanej z sadłem, starym żeby kapusta dobrze pachniała, zasypana kaszą jęczmienną. Różne barszcze z buraków i biały trochę mlekiem zaprawiony i mąką. A jaki był dobry ocet z kapusty. Chleb był pod wymiarem, żeby bochenek chleba starczył na jeden dzień dla rodziny dziesięcioosobowej. Żyto się słabo rodziło, nie było żadnych nawozów sztucznych, obornika mało, bo i bydła też każdy miał mało. Siana były słabe, łąki nie zmeliorowane. Rosły różne turzyce, że na wiosnę to krowy nie mogły wstawać, powychodziły z sierści.

Na rynku zboże było, ale jak komu zabrakło, to nie miał za co dokupić. A przeważnie na przednówku to jest przed zniwami na dobry miesiąc. Był straszny ten przednówek. W mojej wsi kobiety trochę chodziły do lasu na jagody, ale trzeba było mieć kwitek na wstęp przy sobie. Kto nie miał, to gajowi zabie-

rali naczynia z jagodami, garnki tłukli i kije. Każdy gajowy chodził z kijem, trąbką i dubeltówką po swoim rewirze. Nie daj Boże spotkać się z nadleśniczym Pletó. On był służbista. Wszystkie drogi musiały być pobronowane. Każdy tydzień się przejeżdżał tymi drogami. Nie daj Bóg żebyś się z nim spotkał. Był raz trafunek, że do tego Rybackiego, co miał drzewo na plecach to strzelił w nogi. Rybacki był kulawy do śmierci.

Mieliśmy dużą Polskę, Kresy, Wołyń, Ukrainę, ale jaka była bieda - głódówka, nagota i bosa nogi. Tylko śnieg zginął to do zimy wszyscy chodzili boso z nogami posiekanymi od rosy i poodbijanymi, ale duch waleczności i męstwa w narodzie był.

Tego uczyli w szkole. Jak kto chodził, bo nie wszyscy chodzili, nie mieli w czym. Księża na ambonach po godzinie i więcej mówili, jaki naród polski jest waleczny i do walk szybki. Bitki na zabawach były częste, nawet trafiały się zabójstwa. Jak w Bagienicach został zabity Marian Gołota, o tej tragedii była śpiewana piosenka. „jak Marian Gołota został zabity, miał głowę strzaskaną i nożem przebity”. To jest dowód, że młody naród polski chce walczyć, tak mówią chłopaki co przychodzą na urlop z wojska.

Zaczynają się pojawiać pierwsze jaskółki spółdzielczości „Społem”. Pierwszą w Baranowie zakłada ksiądz Trzaskoma, aptekarz Demunet, poseł na sejm Tabaka. Jest skup mleka, przynoszą w wiaderkach, dwa razy w tygodniu przyjeżdża biały samochód osobowy, nazywają go Baranowianka. Powstają zakłady „Społem” ale trzeba płacić członkowskie udziały, a nie mają ludzie pieniędzy. Tworzą się kasy „Stefczyka”, też trzeba płacić członkowskie. Słychać o takiej spółdzielni Lisków w kieleckim, gdzie jest głównym organizatorem ksiądz Brzeziński. Godzianów w skierniewickim też ksiądz. Są spółdzielcze sklepy, piekarnie, mleczarnie.

Na małych obrotach, ale zaczyna trochę się rozkręcać. Trochę słychać o Centralnym Ośrodku Przemysłowym. Prezydent Ignacy Mościcki buduje Mościce i Chrzanów, fabryki nawozów sztucznych i lokomotyw, różnych chemikali. Żydzi coraz więcej kręcą się z handlem, a handlują czym się da; od igieł, kupna bydła rzeźnego, biorą pod zastaw ziemię, małe gospodarstwa jak i folwarki, co dziedzice przegrywają w kartach i hulankach różnych. Na wsiach głód ziemi. Są pogadanki, że tam a tam będzie parcelacja folwarku, ale nie dochodzi, Dziedzic gdzieś wyjechał, a chłopci nie mają pieniędzy. Tylko Żydzi sobie radzą, nawet nieźle. Oni sobie pomagają tak, że jednej zimy Żydówka chodziła i nosiła śledzie w kuble, a drugą zimę już jakiś straganik, a jeszcze

później sklepik. A z naszych niejeden się porwał na jakiś sklepik, to niedługo zbankrutował bo nie wytrzymał konkurencji.

Mój Kazimierz też się wziął za handel, zaczął od pięciu złotych. Nosił na plecach kilka bułek, trochę kielbasy, papierosy i chodził do tartaku w Klinie, a nawet do Lipy. Po jakimś czasie kupuje stary rower i dwa bagażniki, jeden z tyłu, drugi z przodu. Kiedy jedzie lub kiedy idzie, nie dźwiga na plecach. Gazeta kupiona obowiązkowo i wojny nie może się doczekać, kiedy dostanie ten nowy, dobry karabin. Jak przyjedzie z tego handlu, to ma dużo słuchaczy o wojnie, jaka ma nadejść.

Młodzież na wsiach się nie nudzi. Są częste zabawy nieraz gra mój ojciec - Stanisław Cierliński lub Chodkowski Zygmunt z Chodkowa na pedałowce. Na wpół boso, ale młodzież musi się wyszumieć. Przychodzi sierpień 1939 rok. Już wszyscy mówią na głos, że wojna nieunikniona. Hitler chce Gdańsk i pasa na autostradę z Berlina do Królewca. W kościołach są śpiewane i przy krzyżach różne pieśni religijne. Słońko zaczyna się opóźniać ze wstawaniem, gwiazdy bystrzej świecą, znaczą dni bezwietrzne i pogodne, dużo ptactwa szykuje się z odlotem do ciepłych krajów. Robi się cisza przed burzą. Ludzkie twarze są zmienione, coraz mniej uśmiechu na ustach. Wisi trwoga.

W krasnosielcu Żydzi wystają całymi gromadami, coś po swojemu szwargocą. Nasi nie rozumieją, ale na słowo Hitler, często płaczą, tak są swym losem przejęci. Co ich czeka, gdy się zacznie wojna. Oni trochę więcej wiedzą, mają więcej szkoły. Polska przyjęła żydów niemieckich. Z końcem sierpnia jest pierwsza mobilizacja na konie dla wojska. Było to przy niedzieli, a już w tygodniu z mojej wsi karty do wojska dostało 98 chłopów. Jedni Pułtusk, drudzy Przasnysz. Tam ich kierowano i fasowano, ale dla niektórych zabrakło karabinów, wcale nie dostali. Trzymali ich w koszarach i czekali, co będzie dalej. Na wsiach gospodarze młóć zboże czym się da, a najczęściej cepami, bo się zbliżają siewy no i na czarną godzinę. Zboża nie mieli dużo, bo się rodziło lichy. Trzeba było myśleć, jak to przyjdzie przeżyć. Sierpień ciepły i suchy, sady ładnie obrodziły. Jak kto miał jaką jabłonkę, to jabłka się z daleka świeciły.

Początek wojny

Przyszła tragiczny dzień, pierwszy wrzesień 1939 roku. Ja z ojcem śpię na oborze. W nocy lekki przeleciał deszczyk, jest jeszcze szaro. Ojciec mnie budzi - wstawaj Zygmunt, bo wojna. Słyszysz, jak na Chorzelałach się biją? Głowę podnoszę i słyszę strzały z armat. Jeszcze w domu wszyscy śpią, a my kładziemy z workami żyto na wóz i jedziemy na pole. Bierzymy ze dwa metry. Ziemia była zorana. Ojciec z płachty sieje, a ja bronuję. Mama o niczym nie wiedziała, gdzie jesteśmy. Nie domyślała się, że my tak rano się zerwali do siewu. A jak mgła opadła to było i sąsiadów widać, że też sieją. Tak mówili do siebie, że jak się w ziemię wrzuci to ktoś, kto przeżyje, zbierze, a w worku może zginąć lub się spalić. A to przecież będzie chleb.

Jemy śniadanie, kartofle z barszczem - jeszcze dziś pamiętam. Kopiemy dół, obstawiamy słomą i sypimy, coś tego żyta zostawiamy w żarnach. Miele mama, pali w piecu i zaraz takie nie wyrośnięte ciasto piecze. Chleb się piecze.

Do naszej wsi przyjeżdżają pierwsze furmanki, uciekinierzy z Chorzelał, Osówca i Szli. Opowiadają jak nasze wojsko ucieka, jak słyszeli strzały z karabinów maszynowych, ale Niemców nikt nie widział. Są przypuszczenia, że to może nieprawda, jak by to się śniło. Ale gdzieś strzały słychać. Na wieczór ludzie idą pod krzyże, modlą się i śpiewają pieśni pobożne. Noc przesypiamy spokojnie. Parę rodzin z mojej wsi ucieka na wschód. Chłopaki, co nie dostali kart też uciekają. Nie wiadomo dokąd i gdzie. Mój ojciec tłumaczy - Niemcy wszystkich dogonią, ale każdy, że do Narwi, do Różana. Tam są forty i dużo wojska polskiego, to Niemcom dadzą bobu. Zbliża się wieczór sobotni. Dowiadujemy się, że w Sławkach Pletu uciekł, ten dobry nadleśniczy, to kto żyw do sadu w jabłka. Przynoszą po worku, niektórzy obracają dwa razy. Gdy się tak modlimy pod figurką, od Klina jedzie z dziesięciu ułanów, jeden koń wolny, proszą o chleb i wodę. Dostają. Kto co może, im daje. Oni mówią, że jednego Niemca zabili i ten koń wolny - to niemiecki. Jest ciemno, nikt nie sprawdza, czy to siodło polskie czy niemieckie. Prędko uciekają w popłochu.

Trzeci wrzesień, niedziela, poranek ciepły i mglisty. Krowy wyganiamy na dział, bo tak się nazywało pole z łąką za wsią. Pasie nas trzech. Umawiamy się iść do Sławek w te jabłka. Dochodzimy, jest kilkoro ludzi, każdy coś bierze i niesie z tego nadleśnictwa, rzeczy pana Plety. Mój wujek ze Szli, przyjechał jako uciekinier, dubeltówkę, dobrze zakonserwowaną. W domu wszyscy na niego z krzykiem; co on zrobił najlepszego?! Jak spotkają Niemcy, to zastrzelą bez słowa. A i resztę domowników. W nocy powysadzano mosty na Orzycu w

Drażdżewie i w Krasnosielcu. Wujek tę dubeltówkę odnosi do Sławk, zostawia tam, gdzie była. My z Kazikiem Płomskich jabłek przynieśliśmy do domu pełne koszule, zostawiamy, bierzemy po parę i lecimy do krów, tam gdzie się pasły.

Zadowoleni jemy jabłka, bo trzeba wiedzieć, że w domu to było rzadkim gościem, a tu taka okazja się trafiła, że się jabłka je do syta. Stamtąd spojrzemy się w kierunku wsi, a tu trzech ułanów na siwych koniach, lornetkami rozglądają się we wszystkie strony i po mału jadą do lasu w kierunku Klina. Dojechali lasu. Cisza. Wyjeżdża siedmiu na gniadych koniach, ale ci mają już karabin maszynowy. Dalej cisza. Potem z piętnastu, to my prędko krowy kijami i do domu, bośmy się kapnęli, że to nie Wojsko Polskie. Kolor mundurów był inny. Ale już po drodze we wsi wymijamy się z wojskiem niemieckim. Jak zaczęli jechać od jakiejś godziny dziesiątej, to do trzeciej po południu jechali. Co trzy trójki koni, to karabin maszynowy. Ludzie trochę się patrzą, z ukrycia.

Mój ojciec umiał po niemiecku, to się miał za odważniejszego. Staliśmy z nim przy drodze. Oparliśmy się o płot i przyglądali. Ojciec do tych starszych mówił - Gut Morgen. Uśmiechali się i odpowiadali z podniesieniem ręki - Heil Hitler! Jeden podjeżdża do ojca i pyta się: skąd on dobrze zna takie słowa. Ojciec odpowiada, że był w pierwszej wojnę światową w niewoli u Niemców i nauczył się szprechać po niemiecku. To ty dokonać ja gut. Szli dobrego stępa, dużo się nie rozgadywali, bo się spieszyli. Nasze wojska z Mławy, wdarte się do Prus, więc wojska niemieckie mają zaskoczyć naszych od tyłu. Wieczorem trochę się chłopów zeszło, opowiadali jaka silna armia, jak dozbrojona, jak dobrze odżywione konie, jakie ładne i jak ich dużo się przewaliło. Kto ich zatrzyma? Tych naszych paru żołnierzy, co uciekali w popłochu? Nie zatrzymają się na Narwi, nie ulęką się fortów w Róźnie. Całą noc od Drażdżewy do Krasnosielca tylko szosa dudni od prowadzenia ciężkich armat i innej broni. Spać nie było można - taki łomot, a wszystko na Warszawę...

Czwartego września krowy pognaliśmy bliżej szosy z Drażdżewy i w krzaki się pochowali żeby więcej obserwować jak Niemcy jadą i co prowadzą na front. A górą eskadra za eskadrą za obłokami, samolotów, jeden warkot i dołem i górą. Każdy załamany na duchu, że już jest nasza przegrana, takiej armii nikt nie powstrzyma. Niektórzy się wyrwali do Krasnosielca po papierosy i sól. Mówią - nie ma nic, wszystkie sklepy Żydów są splądrowane. Żydów dużo jest zatrudnionych na robotach mostowych, są pod nadzorem Niemców. Chłopy nic nie przynieśli - ani papierosów, ani soli. Sól nie taka ważna jak papierosy dla palacza...

Każdy się kręci żeby coś zdobyć, ale się boi żeby nie wpadł. Na Pienicach zostaje przecięty kabel. Łapia kilkunastu chłopów, wyprowadzają i strzelają. W Krasnosielcu już się odnajdują polscy Niemcy. Do tej pory nie było ich, a teraz jest parę rodzin na czele z Rychterem. Zostaje burmistrzem, tworzy urząd gminy z czterema żandarmami. Już mają bryczkę, konie do wyjazdu. Nasza policja poruszała się tylko rowerami, a oni mają konie, bryczkę, furmana. Rychter też ma bryczkę i konie.

Wojska niemieckie jadą na Warszawę, całe kolumny. Jakieś oddziały zakwaterowały się w lesie pod Krasnosielcem. Chłopy się najbardziej kręcą za machorką i papierosami. We wsi wiedzą wszyscy, że mój ojciec mówi po niemiecku. Proszą na litość żeby poszedł do tych Niemców, co w lesie kwaterują, to by coś przyniósł zapalić, to by się trochę rozerwało. No i ojciec, Stanisław Cierliński przyniósł trzy paczki tabaki i pięć paczek papierosów Juno, tak się nazywały. Jak chłopcy zobaczyli że ojciec wraca - na wyścigi! Który pierwszy przybiegnie do ojca? Ojciec powiada, że nawet nie miał trudności, przyniósł parę bochenków chleba. Obiecują ojcu za te papierosy, chłopcy po pół metra żyta i żeby poszedł jutro, bo tu chcą palić. Ojciec mówi, że przy wozach leży dużo chleba. Tak sobie myśli, jutro to weźmie worek na ten chleb.

Poszedł zaraz po śniadaniu i chodzi między wojskiem, to rozmawia z żołnierzem i z drugim. Chleba nazbierał pół worka i dostał trochę tabaki. Ale jeden ze słowaków go ostrzega - dlaczego się tu kręcisz? Żeby cię co nie spotkało! Tak rozmawiają, a tu podchodzi jeden z poruczników i mówi - komm! Zabrał go koło swego samochodu i powiada, że jest szpieg. Zaraz będzie rozstrzelany. Zobaczył co jest w tym worku. Chleb i machorka. Trochę zmiękł, ale przywołał jednego żołnierza i każe ojca pilnować, czekać, aż przyjedzie pułkownik ze Szczytna, który jest na naradzie. Wtedy ojciec przejrzał, co znaczy kręcić się przy wojsku, a przecież był sam żołnierzem. Tak go te chłopcy otumaniłi. No i ten chleb...

W domu czekają, rodzina i chłopcy, a tu pana Cierlińskiego nie ma. Już jest kawał z południa, obiad ojcu dali, ale nie puszczają. Pułkownik przyjeżdża około godziny piątej. Którzy żołnierze przechodzą, to mówią: będzie rozstrzelany! Ma dobrego stracha. Przychodzi dowódca i pyta co tu robi i czy wie czym to grozi. Żołnierze, którzy pilnowali, wysypują z tego worka chleb i tabakę. Popatrzył się na ojca, ten chleb każe pozbierać i odchodzić do domu. Na odchodnym pyta skąd on się nauczył mówić po niemiecku. Ojciec mówi, że był w tamtą wojnę w niewoli. W jakim mieście - pyta. W Essen. Dobrze, ja też jestem z tamtych stron.

Jak się wyrwał to mówił, że by go na koniu nie dogonili. Przyszedł, opowiada sąsiadom i w domu, co go spotkało. Już więcej nie poszedł do wojska.

W gminie w Krasnosielcu jest odprawa sołtysów. Prowadzi Rychter. Każdy dostaje zarządzenie; jakie obowiązki, kary. Dwie takie duże karty druku maszynowego odczytuje na zebraniu sołtys Gołota Bolesław. Z całej wsi mieszkańcy muszą być i o wszystkim dokładnie wiedzieć, żeby nie było, że ktoś nie wiedział. Zaczyna się życie okupacyjne. Nad plecami bat, ale marki to się zaczynają trochę przychowywać w kieszeni. Po trzech tygodniach Niemcy wracają od Warszawy. Zima zaczyna się wczas, dziewiątego października pierwszy śnieg i to obfity. Z pól nie jest pozbierane i nie wykopane kartofle i inne warzywa. Są parostopniowe przymrozki, taka pogoda trwa lepiej z tydzień, trochę puszcza ale kartofle ponadmarzały i każdy zaczął prędko sprzątać z pola.

Wojska kwaterowały po wsiach. Także u nas zakwaterowali kowale. Kuźnię polową ustawili pod szopą, która stała koło stodoły. Ojciec im mówi, żeby aby nie zapalili. To się śmieją i mówią, co to by był za żołnierz, żeby dał powstać pożarowi. Ojciec z nimi rozmawia po niemiecku, poklepują się po ramionach. Kamrat, kamrat! Zaczynają handlować machorką i papierosami za jajka i masło. U sąsiada jest kuchnia. Ojciec wykombinował parę kilo soli i się pochwalił. Sąsiadki przychodziły, żeby im udzielił. Po wojskowym obiedzie rozdali resztę grochówki. Przychodzili z wiadrami sąsiedzi, a smakowała! Jeszcze dzisiaj czuję ten smak.

Ten oddział taborów stał ze dwa tygodnie. Wszystkie konie musieli okuć, bo nie mogły chodzić. Trzeba było kuć na ostro. Jakie piękne konie! Niektóre jakieś nerwowe, co oni im nie „napotrafili” i jak się namęczyli nim była stara podkowa zerwana, a druga przybita. Aż z nich pot ciurkiem leciał. Sypiali w stodołach, ojciec już się z nimi zaprzyjaźnił i jednego wieczoru na odchodnym chcą się z ojcem pogościć. Jest ich dziesięciu, kupują dwie gęsi, mama im oprowadza, każą piec na blasze, na drugiej smażyć kartofle krojone w kostkę. W to piętnaście jaj. Przychodzi wieczór. Przychodzą ci wszyscy, którzy byli umówieni, obsiadają stół, stawiają butelkę rumu, przypraszają moich rodziców i się goszczą. Piją z butelki, jeden drugiemu podaje. A gadają widać różne rzeczy, bo się śmieją, po ramionach się poklepują, gdzieś do północy.

Jeden z tych żołnierzy mówi, że jutro to ojcu pokaże buty oficerki i będzie chciał je sprzedać. Ojciec mówi, to dobrze. No i rano przynosi, pokazuje, ojciec kupuje, dziesięć marek. Na nogę dobre, zadowolony, że kupił takie tanie i dobre buty. W butach na sztywniku jest wybite nazwisko i imię, Aleksander Bartosiewicz, Wilno, jednostki nie pamiętam. Wojska poszły do Nie-

mieć. Administracja w gminie pracuje, gdzieś dalej iść czy jechać, trzeba brać przepustkę. Ojciec ma rodzinę w Bartołdach koło Zielonej. Chce się tam wybrać i iść w nowych butach. No i zaszedł, tam się pochwalił, że tak dobrze i takie ładne kupił buty. Oglądają, czytają na tym sztywniku. - Te buty to są naszego sąsiada, on służył w Wilnie w wojsku jako porucznik i ktoś go wczoraj widział. Trochę się ukrywa ale jest. Ojciec przerywa gościnę i prędko do domu, aby tylko jeszcze w butach, prosi rodzinę żeby aby nie mówili o tym zdarzeniu. Przychodzi i mówi jak to można się nadziać, ale podarł je przez całą okupację.

Administracja niemiecka w gminie dobrze pracuje. Burmistrz Rychter, Olszewski sekretarz i woźny. Najwięcej ma do roboty woźny, bo musi ze wszystkimi meldunkami jeździć na rowerze. Ma na niego zezwolenie, a tak jechać na Budy albo Różecka to lepiej po dziesięć kilometrów w jedną stronę. To nie tak lichy, a tu zima idzie wielkimi krokami. Już w listopadzie są duże śniegi i mrozy do dwudziestu stopni. Przychodzi zarządzenie, żeby każdy przed swoim zabudowaniem odśnieżał drogę. Na szosie każda wieś ma swoje kilometry. Tylko raz zostało powiedziane, nikt nie pytał. Tylko jeszcze śnieg w obłokach, to już chłopcy z łopatami na drodze. Niechby się ociagał, to był biedny...

Przyjeżdżają żandarmi na rewizję do Czesława Polakowskiego i Franciszka Rajczyka. Są oskarżeni o kłusownictwo, znajdują u jednego skórę z lisa, u drugiego skórę z zająca, drut na wnyki. Zabierają, a im się każą stawić jutro na posterunek w Krasnosielcu. Żeby wiedzieli, co ich czeka, uciekli do Protektoratu, to by przeżyli, a że się zgłosili to odwieźli ich do Makowa. Tam trzymali ze dwa tygodnie i do Przasnysza. W Przasnyszu rozstrzelali na cmentarzu. Tego dnia było ich rozstrzelanych pięciu.

Czesław Polakowski był człowiekiem bardzo wesołym. Umiał grać na organkach ustnych, a jaki tancerz... Do poleczki, to kobiety na ochotnika się zgłaszały, bo tańczył z różnymi przysiadami, przyklękiwał na kolana i poleczki nie zmylił. Cała publiczność się bawiła. Tyle wesołości było w tym człowieku i humoru. Młodzież, gdy była zabawa to się nie mogli doczekać kiedy przyjdzie pan Czesław Polakowski i tak tragicznie zakończył swoje życie. Musieli ci dwaj pierwsi z mojej wsi padnąć z rąk wroga. Franciszek Rajczyk był człowiekiem zrównoważonym.

Pierwszą wiadomość o tej zbrodni przyniósł mój ojciec, gdy wracał z tych Bartołów. Był na odpuszcie ósmego grudnia w Przasnyszu w tych oficerskich butach, co kupił od tego niemieckiego żołnierza. Jeden wróg żywy, a drugi - natura, bo się zanosi na straszną zimę. Śnieg jak pierwszy spadł, tak co dzień przypada. Są duże zawieje. Co drogi się odgarnie, to z powrotem na-

wieje. Mróz nie folguje, trzyma cały czas grubo po dwadzieścia pięć stopni. Nocami to i większy.

Na brak roboty nikt nie narzeka, każdy się stara o porządek w podwórzach, w oborach. Czyszczą krowy, konie, bo nóż mogą żandarmi sprawdzać i wtedy toś biedny. Tak było u pana Śladowskiego w Drażdżewie. Krowy nie miały gnoju urównanego. Patrzą się, a tyły krów są na metr wyżej od przodu. Pytają się jak się nazywa i jaki jego zawód, a on mówi, że rolnik. To jak go rąbnie batem. - Toś rolnik?! - Pytają się drugi raz, mówi że rolnik. Jeszcze raz batem. Żandarm. - Tyś pierdolnik, a nie rolnik! To spotkanie się szybko rozeszło po całej okolicy, że tu nie ma żartów, trzeba o wszystko dbać, a najwięcej o porządek.

Jaką oni mieli rękę i chęć do bicia za nie podniesienie czapki. Gdy przejeżdżali, jak przywołali, zapytali się dlaczego nie zdjął. Jak powiedział, że nie zauważył, to dostał tak, że potem uważał. Jest dalej grudzień tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty. W gminie Krasnosielc są wyrabiane takie niby dowody. I ja mam lat siedemnaście, obowiązuje i mnie. Są wyrabiane w szkole w Krasnosielcu. No i zachodzę w czapce, moja wieś na drugim piętrze. Stoi żandarm, a ja w czapce idę, to jak mi ją zerwie i puści po schodach, aż na dół poleciała, i się rozedrze. - My - cu runte! To ja do dziś pamiętam, że gdzie nie wchodzić, czy do mieszkania, czy jakiegoś biura - to najpierw zdejmuję czapkę, dopiero otwieram drzwi. W czapce nigdy! Taką wtedy dostałem nauczkę i zdjęcie czapki.

Życie gospodarcze zaczyna się normować. Do sołtysa przywożą beczkę nafty, po dwa litry dają. Sól ludzie gotują czerwono-zieloną, po odgotowaniu robi się biała, nie taka piękna ale i przed wojną każdy używał soli siwej bo była tańsza o połowę od białej. Ta sól czerwona, to potem się dowiedziałem, że to była sól potasowa i kainit zielony. Też nawóz sztuczny - to ludzie jedli i chwaili. Dobrze, a najważniejsze, że tanie. Mąkę i kaszę robili ludzie w żarnach, albo w młynkach. Jak kto miał i gdzie mógł - robił. Nie było wolno, ale jakoś się udawało.

Szkół nie było, dzieci nie chodziły. Wszyscy byli w domu. W czym kto miał, chodził i się obuwał i czekał wiosny. A tu jeszcze daleko, dopiero grudzień. Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Po trochu przychodzą żołnierze, których zwolnili za słaby stan zdrowia. W Makowie jest zrobione getto dla Żydów z Krasnosielca. Są i z innych miejscowości. Gdzie jaka rodzina jest, musi być dowieziona do Makowa i tam do getta. W gettcie się z Żydami nie cackają, czy mały, duży, czy stary, jest za ogrodzeniem. Chłodno czy głodno, nie ma żadnej higieny ani humanitarności. Jeden lament i strach i Żydów i

Polaków, którzy by chcieli coś pomóc. Wozem nikt się nie rusza, bo takie śniegi duże, mrozy.

Odnajdują się lekarze, którzy dobrze i tanio leczą. Jest zarządzenie; u kogo jest ktoś niesprawny lub chory to do Krasnosielca, a stamtąd do Makowa i na Wąski Las. Tam zamordowali. Stamtąd nikt nie wrócił. Jeszcze dwie ofiary z mojej wsi; Stefa Krukowa i Leokadia Grabowska. Trupy lecą, a życie idzie swoją drogą.

Do Jastrząbki przywożą co dzień dwa wagony świń warchlaków. Muszą je odebrać gminy Baranowo, Krasnosielc i Płoniawy. Dobrze wychowane, ale poodmrażane uszy, nogi i boki, taki silny mróz. Chłopy jadą saniami po te świny i ja też. Sołtys rozdziela, ile kto musi wziąć. Konie żeśmy sprzęgli i pojechali we czterech. Ja przywiozłem trzy sztuki, jeden zdechł, taki potłuczony. Bez żadnych skryptów ani poręki, tylko kto się ociągał to mówili, że byli żandarmi z Baranowa to dopilnowali. Dwóch dostało kije, to już dzisiaj się nikt nie ogląda. Są nawozy sztuczne, zboże siewne, ziemniaki. Każdy musi brać bo nie, to kije. Ale jak to wszystko rosło na polach, łąkach i te świny, to aż miło spojrzeć. Dużo myślało, że Niemców oszuka, to nawozy w ziemię zakopało. A jak się przejechali żandarmi i sprawdzili, że u sąsiada, co wsiał, ładnie rośnie, a ten nie wsiał tylko zawalił w ziemię, no to był biedny...

Gospodarka „za Niemca”

Roboty nikomu nie zabraknie. Kto w lesie, kto ma konie - kłoce do tartaku na Klin, do Nowej Wsi z kamieniami, tam są młyny, co miały te kamienie i na wagony. Gdzie wiozą - po wojnie się dowiadujemy. Do Kętrzyna, na Wilczą Jamę dla Hitlera. Sołtys przynosi zarządzenie, gdzie u kogo jest więcej ludzi to zapisuje mu przymusowe roboty, początkowo, że będzie komisja, ale jak już kto się załapał, to do Ciechanowa, na wagony i do Prus. Niektórym się z Ciechanowa udało uciec, przeważnie chłopaki, ale dziewczyny to pojechały. Płacz, lament nic nie pomoże, wagony zaplombowane, wyskoczysz po drodze. Na stacjach odczepili wagony, jakie było zapotrzebowanie na tych ludzi, co zgłosili, bo oni do arbeidsamtu, a transport szedł dalej aż do Kłajpedy i tam czekać gwiazdki - jaka i kiedy zaświeci.

Tak było z moją żoną Kazimierą Połomską z domu. Matka ją zaprowadziła na posterunek w Jednorożcu z myślą, że może tego żandarma jakoś ugada, że się zlituje i nie pojedzie do tych Prus. To jak ten żandarm nie beknie. Matkę wypchnął za drzwi, a ją dołączył do innych, którzy tam już stali. Było ich co najmniej z siedemdziesiąt osób - tak dziewczyn, jak i chłopaków. Każdy z tobołkiem, w nim trochę ciuchów, słabe obuwie, bochenek chleba, coś do niego i cała wyprawa w świat. Miała osiemnaście lat, dobrze zbudowana. Wszystkich na furmanki i do Ciechanowa do wagonów osobowych. Pełne przedziały. Dziewczyny osobno, a chłopaki też osobno i tak się jechała aż do końca to jest do Kłajpedy, po niemiecku - Memla.

Jest szesnasty kwiecień, noc mocno gwiazdzista, gdy wyjechali od stacji do tego nowego domu i mieszkania. Kazia i Roman Łepkowski z Makowa. Wiezie ich stary litewski Niemiec dobrze ze trzy kilometry. Chce im się i jeść, i spać. Dwie noce i jeden dzień tej jazdy w wagonie. Dojeżdżamy. Niemiec wjeżdża na podwórze, psy mocno dojadają, nie wiadomo czy na nich czy na konie. Jest dobrze po północy, bo koguty zaczęły pisać. Zegarków nie mieli. Ten bauer zaprowadza ich do kuchni, dają im jeść - bardzo smacznie. Kazia nocuje w kuchni, a tego Romana na oborę, jest tam pokój, ale zimny nie opalany. Prędko zasnęła z przemęczenia i niedospania.

Rano, godzina może szósta. Każą wstać i się ubierać, wychodzić na podwórze. Już jest Roman ubrany, jest Niemka, jeden stary Niemiec i jeden młody. Jest ładny, pogodny poranek, gdzieś słychać jakiś szum. Co to może być? A to morze (przecież Kłajpeda leży nad morzem). Oprawdają ich po zagrodzie, co kto ma robić, Roman do gospodarstwa, Kazia do dojenia krów.

Krów osiemnaście, dobrze wychowane, z dobrymi wymionami i z dużym mlekiem. Kazia nigdy krowy nie doła, a tu masz taką ciężką robotę. Nie wiedziała nawet jak usiąść do tego doju. Po paru dniach ręce tak ją bolały, że nie mogła spać nocy. Płakała całą noc, nie zdążyła się przespać, a już Niemiec krzyczy żeby wstać do dojenia krów, no i z mlekiem do mleczarni. Kilkanaście kan tego mleka, a z powrotem odciąg dla świń i dla nich bo im co dzień gotowali zacierkę z mąki razowej i tego odciagu. Chleba pod wydziałem, nic nie można skombinować, bo wszędzie się ten stary kręci.

W tej rodzinie niemieckiej są dwoje starzy coś dobrze po sześćdziesiątce, synowa bez dziecka, syn na wojnie, nieraz wpadnie na urlop, ale synowa nie wytrzymała i odeszła do swoich rodziców, tak że do roboty przybyło a jedzenia nie. Jak jechała z tym mlekiem, to sobie popiła. Parę razy się udało ale ktoś podpatrzył i doniósł do starego, a stary na wóz i na gestapo. Jak dali, to jeszcze była ze cztery lata i się mleka nie napiła ani jajek w parniku też nie gotowała. Bo tego Romana to zawiózł, że znalazł skorupki po wypiciu jajek. Takie było życie. Niemcy co pomagali, odeszli na wojnę. przywieźli troje Ukraińców, dwie kobiety, czy panny i jednego chłopaka. Kazia już miała trochę łżej.

Przychodzi rok tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty. Jesień, wojska radzieckie prą na Królewiec. Uciekają ze wszystkim, z czym się da, do Królewca. Tam są do listopada. Front się dalej nie przesuwają. Wracają z powrotem. Niemcowi rura zmięka, jest łagodniejszy, trochę więcej jedzenia, bo i tak dużo się namarnowało po drodze. Przychodzi koniec lutego 1945, znów ucieczka do tego Królewca, ale ruskie dogonili i przesortowali. Kto Polak, do innej grupy, a Niemców do drugiej grupy. Jak byli na tej ucieczce, doszła synowa tych Niemców, która odeszła. Bała się ruskich, to się zaszyła w oborze pod żłób, że się skryje. Znaleźli ją i zabrali. A po co to wiadomo, co ruskie robili z młodymi Niemkami. Kazali wracać do domu, a Niemcom do swojego. Jak oni prosili żeby się z nimi wrócić ale ruskie nie kazali.

Już się tworzą posterunki NKWD po większych wsiach pod Królewcem i tego Romana zatrzymują do pomocy i sprzątania. Z nimi się zaprzyjaźnia, mają dwie Niemki do towarzystwa, które chętnie do nich przystały. Jednego razu po obiedzie te Niemki idą z Ruskami skwerem, po jakimś czasie wychodzą, każą iść temu Romanowi, ale on nie chciał, to się z niego długi czas te Niemki i te Ruski śmieli. I tak szli, jechali, tak, że dziewiątego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku Kazia wróciła do domu. Przez całe pięć lat, nie pamięta kiedy była najedzona a kiedy głodna.

Przed wysiedleniem

Mój Kazimierz dostał kartę do wojska w sierpniu, jak i wszyscy do Różana, pilnować mostu na Narwi. Ale po paru dniach wrócił do domu i rodziny. Żałował że się nie zastrzelił, bo karabin rzucił po drodze, a miał takiego ducha i tyle nadziei. Po wojnie się przeprowadził do Krasnosielca i umarł. Przychodzi wiosna bardzo wczes po takiej ciężkiej zimie 1940 roku. Powraca ptactwo z ciepłych krajów, gęsi długimi kluczami, szpaki, skowronki zwiastuny wiosny. Ludzi do kościoła mniej chodzi, księża krótkie mówią kazania, nie ma ani radia, ani gazet, tylko poczta ustna jest czynna, a to tego wzięli, gdzieś wywieźli, a to tamtego pobili. Każdy czuje strach i przygnębienie. Jak się pokaże woźny, albo żandarmi, to każdy chowa się gdzie może i myśli, czy aby nie do niego. Jak przejechali przez wieś i odjechali, to w każdego wstępuje inny duch.

Troje ludzi w gminie, woźny, sekretarz i burmistrz. Każdy wie, co ma robić. Czterech żandarmów i taka duża gmina jak Krasnosielc - wszędzie posłuch. Nie ma pijaków, żadnych awanturników, a już zaczynają po trochu bimber pędzić. Chociaż, kto jest pijany, łeb spuści i do domu, i cicho. Nie było narkomanów, alkoholików. Za wenerykami jak ścigali, ejdsów jeszcze wtedy nie było.

Słońko zaczęło blado świecić nad głowami naszej kochanej Ojczyzny, a zwłaszcza Grądami. Wytyczają kolej, która ma połączyć Ciechanów z Ostrołęką, przez środek wsi. Mówią, że wieś do wysiedlenia. Nikt tego nie bierze pod uwagę. To jest niemożliwe! Gdzie tyle ludzi podzieją? - Tak się każdy pociesza. Wszyscy są zajęci robotami od rana do nocy, kto w lesie, kto w gospodarstwie. Marki się już nielicho trzymają kieszeni, bo nie ma na co wydawać. Kupują szmuglarze i nocami gdzieś transportują. Przychodzą żniwa, siewy i kopanie kartofli. Pogadują coraz głośniejsze, ale każdy mówi; - Na zimę? To niemożliwe, przecież i Niemcy ludzie, to chyba też ludzi rozumiają polskich. Tak było do Wszystkich Święt. Ludzi jest jak zwykle więcej i gadają, że z okolic Krasnosielca są ponakazywane podwozy do Grądów i że będzie wysiedlenie. Jedni wierzą drudzy nie, ale każdy zmiękł i w nocy czuwa.

Wieś jest wojskiem obtoczona, nikomu nie przeszkadzają, ani nie legitymują. Także koło naszej stodoły stało dwóch żołnierzy. Ojciec kładzie żyto i jedzie na młyn do Krasnosielca, tym się wcale nie interesują. Konie założył do wozu i pojechał, dojechał do pół boru, a tu patrzy, jeden sznur wozów i wojska na tych wozach, dojeżdżają i curyk. Ojciec prędko przyjeżdża i po drodze o wszystkim opowiada, że jadą Grądy wysiedlać, a tak to do czasu nie wierzył jak

by to było można kogoś wysiedlić. Po kolei w każde podwórze wjeżdżają podwozy. Do nas zajeżdża Zygmunt Krysiak z Krasnosielca. Na wóz kładą świnię. Ta niemiecka była już tylko jedna. Krowy do wozu dwie i byczek ze trzysta kilo, kobyła. Jest jeden Niemiec wojskowy, ojciec się go pyta, czy może jedną krowę odczepić. Nie mówi nic, wyszedł na drogę, a ojciec tę lepszą krowę odczepia, daje siostrze mojej Anieli i ta za stodołę, niedaleko były krzaki i do wuja w Karolewie. Tam babcia ją chowała i trzymała dla nas, jak przyjedziemy kiedy po wojnie, to już będziemy mieli krowę. Krowa się nas nie doczekała. Na tydzień przed naszym przyjazdem zabrały ją wojska ruskie.

Inwentarz tego dnia został wszystek zabrany do Krasnosielca, świnię na wozach, a konie przy wozach. Tam spisali, kto co bierze pod swą opiekę i jak zajdzie potrzeba, to na kontyngent dla wojska. Ten co wziął od nas świnię, to jest Zygmunt Krysiak. Bo ojciec za dwa lata przyszedł sam. Obejrzeć podwórze jak wygląda. Był w czerwcu 1942 roku, to nie mógł się rozpoznać, co się robiło. Budynki rozebrane, powywożone, gdzie się da. Przyjeżdżały podwozy ze Sławkowa i Sielunia. Tydzień czasu i wsi nie ma. Tyle nagnali ludzi i furmanek. Na polach były zasadzone lasy. To jak ten Krysiak się dowiedział, że ojciec jest, to tak chodził i szukał ojca. W końcu znalazł i oddał za tę świnię ojcu 180 marek, bo mówił, że tyle wziął na spędzie.

Ludzie z Grądów się rozbiegli po sąsiednich wsiach, tylko pozostał drób, to skrycie przychodzili, łapali, zarzynali i uciekali tam gdzie siedzieli. Z sąsiednich wsi jak z Drażdżewy były podwozy nakazane do omłotów zboża. Listopad był ciepły, mglisty i wilgotny. Dni krótkie, tak że wczas te omłoty się kończyły i jednego razu tyle wozów jedzie w kierunku Karolewa i dużo na piechotę na noc, a tu zajeżdżają z przeciwka żandarmi od Karolewa. Jestem i ja, pierwszy idę pieszo, pod pachą niosę bochen chleba. Jeden się pyta mnie, gdzie ja, a ja mówię, że do wuja na noc, bo tam jest już moja babcia, to jak dołoży kija. - Prosunie, ja ci dam noc. To curyk! Był sam. Ale tu tyle jedzie wozów w lesie. Prędko nie zawrócisz końmi, oni nie pytają tylko leją, gdzie sięgnie. We czterech uciekamy. Nas kilkoro przez las i krzaki. Jakie kto ma tobołki na plecach, czy się drapnie, czy zawadzi, aby jak najdalej od kija. Lecą między innymi Myślaki, mają trzytygodniowe dziecko. To ten Myślak całą tę ucieczkę, upominał - żeby aby tego dziecka nie udusiła, a to niosła w płachcie no i się udało. Każdy potem liczył ile dostał kijów. Dolatujemy do jesiona w Karolewie, a tam już stoi Józef Dobrowolski i śpiewa piosenkę o "saskim ogrodzie koło fontanny, jakiś facet przysiadł do panny". Jedni kije, płacz, lament, a drudzy śpiew i wesoło. Takie jest życie...

Ten obrazek trwa dwa tygodnie. Ludzie w dzień przychodzą, łapią drób, młóć zboże, na noc uciekają do krewnych w drugich wsiach. Kilkunastu wojskowych się kręci po wsi, ale im to nic nie przeszkadza. Tak to trwa dwa tygodnie, każdy przygnębiony, wystraszony, z myślą co będzie dalej. Aż tu przychodzi zarządzenie, że kto przetrzymuje ludzi z Grądów, to będzie sam wysiedlony. Na ten dzień, który wyznaczają, ma każdy przyjść na swoje gospodarstwo, bo jak nie to do Działdowa. Tych co przetrzymują i tych co uciekli. Narada krótka, rodzina rodziną ale trzeba iść na swoje. My z rodziną byliśmy we Szli u wujów, ale płacz, lament. Załadowali nas na wóz i przywieźli do Grądów. Do wieczora uciulało się nas ze trzydzieści rodzin. Nie wszystkie rodziny, ale każdy odpowiada sam za siebie i swoją rodzinę.

W zarządzeniu jest - jaki na osobę ma być bagaż i co, ile życia, ile odzieży i pościel. Matka jeszcze upiekła chleb na drogę, żarnowy. Jak było nas osiem ludzi, dla każdego po bochnie takim z pięć kilo. Całą noc nikt nie śpi, jedni sąsiedzi przychodzą do drugich i każdy myśli, co to będzie jutro. W listopadzie robi się późny ranek, jest mglisto. Gdzieś koło godziny dziewiątej zajeżdżają podwozy i wszystkie rodziny, które przyszły, ładują na te wozy i do Krasnosielca. Tam już kierują jak mają pojechać te furmanki. Jest większa obstawa żandarmów. Już stoją samochody ciężarowe bez plandek. Krzyczą żeby prędko wsiadać. Kto się nie gramolił prędko to kije. Starych wrzucali z rozpędem. Pościel jest zrzucana na drugi bok, a brać nie wolno. Tylko tobołki z jedzeniem. Po parę rodzin na samochód i odjeżdżamy. Do mostów i się zatrzymujemy. Dwa samochody. Tu dalej furmanki na ten punkt ludzi dowożą.

Po dwóch Niemców na każdym samochodzie, nie wiadomo gdzie nas zawiozą. Każdy lamentuje, czy do Prus, czy gdzie indziej. Ojciec się pyta jednego z tych konwojentów. - Gdzie to jest? Za Mławą. Pada deszcz, są małe dzieci w rodzinach, każdy się przytula jeden do drugiego, żeby tak nie przemoknąć. Nie ma nikt się czym zasłonić przed deszczem. Ruszamy, już jest ciemno. Jedziemy w kierunku Dąrdzewy, Przasnysz przejeżdżamy, myślimy czy Ciechanów, czy Mława. Jak Ciechanów to Warszawa a jak Mława to Prusy. Gdzie przejeżdżamy, wszędzie się świecą latarnie uliczne, na lampach odbija się padający deszcz. Widać go i na szosie pod światłem, my nie czujemy bo jesteśmy tak przemoczeni. Mijamy dużo miejscowości po drodze, między innymi Iłowo, no i dojeżdżamy do Działdowa.

Ten konwojent mówi ojcu, że to już tutaj. Jedziemy różnymi ulicami, miasto jest oświetlone. Raptem wjeżdżamy w taką uliczkę ciemną. Podjeżdżamy, jest duża żelazna brama, nad bramą mała żarówka się świeci. Zchodzą ci

konwojenci, łomoczą do bramy parę minut nim się pokazał od środka jakiś wachman. Coś pogadali, otworzył bramę i dwa samochody wjechały na plac. Samochody są otoczone przez wachmanów, odpinają burty samochodów i wysiadać. Każdy przemoczony i zziębnięty. Prowadzą na portierkę do rewizji, żeby zdać marki. Chłopy w jedne drzwi, a kobiety w drugie drzwi. Każą wykladać na stół marki. Chłopów rewiduje wachman, a kobiety Niemka. Ten Niemiec to nawet i łagodny, kto mu wyklada i odchodzi, nie rewiduje specjalnie, ale ta Niemka to ma kij, tłucze po stole aż idzie echo po całej portierni. Matka oddała co miała, a już była dorosła siostra Aniela i nie wyklada, bo i nie ma. Ta jak się zacznie drzeć i w stół kijem bije i do siostry doskoczyła. Tu ojciec mówi po niemiecku, że ona nie ma. Nie dowierza, to jeszcze do wachmana i ten się wstawił. Puściła, bo by była ją wylała.

Zaprowadzili nas do końskich stajni, jest trochę słomy, po trosze się rozbieramy z tego mokrego ubrania i jemy chleb, trochę mięsa z drobiu, co mama uszykowała. Świecą się małe żarówki, podłoga z cegły. Z dwóch samochodów to jeszcze nie było tak dużo ludzi, ale całą noc dowożą, tak że później było już dosyć dużo. Przywożą jeszcze znajomych od Krasnosielca. Ojciec wyszedł trochę na plac, podszedł do jednego wachmana i mówi po niemiecku, czy nie dali by czegoś się napić. Poszedł do drugiego budynku. W czterech ludzi przynieśli czarnej, gorącej kawy dwie wanny. Kto w czym ma, bierze. Nie jest słodka, ale nikt nie pyta tylko bierze.

Z mojej wsi jadą Maluchniki, mają trzymiesięczne dziecko, całą noc płakało, mówi do mojego ojca, że dziecko nie kapane parę dni i przez to płacze. Ojciec mówi do wachmana, że jest potrzebna ciepła woda do kąpieli dziecka, no i za parę minut przynoszą wannę wody, duży, biały ręcznik, mydło i każą dziecko kąpać. Po wykapaniu dziecko się uciszyło i był jakiś czas spokój.

Ludzi coraz więcej przybywa, już pełne dwie stajnie, w których kiedyś stały konie ułanów. Po trzech dniach z jednej stajni robią spis, to jest z tej mojej. Ludzie się załatwiają za swoją potrzebą, jest rów z pięćdziesiąt metrów, przez środek rowu jest drag bez poręczy, że jak by kto wpadł, nie wiadomo jak by się wydostał. Rów głęboki z metr pięćdziesiąt. Wszyscy siadają razem na ten drag, kobiety, mężczyźni i dzieci, nikt się nie krępuje i nie wstydzi. Po nocy jak ktoś zrobił, czy może dziecko, to ci mężczyźni, co byli w tym obozie, sprząkali. Tak byli pilnowani, żeby z nikim nie zagadał. Trafiło się, że jeden z tamtych powiedział do naszych, to zaraz go zabrali na plac ćwiczeń.

Na tym placu było może więcej z dziesięć grup. Jak oni ich nie męczyli. Jedni nosili w skrzynce piasek we czterech, jedną ręką i dookoła chodzić. Wia-

domo, że ręka uciarnieje i póścił, to kije, inny żabki, inni biegi i każda grupa coś innego. Nie można było patrzeć na tę męczarnię, jak może człowiek męczyć człowieka. Jest dobrze połowa listopada. Wypogodziło się gdzie nisko, ale słońko świeci. Niedaleko od nas są tory kolejowe, przejeżdżają często pociągi, to w jedną, to w drugą stronę. Co wiozą nikt nie wie i wiedzieć nie musi.

Nas spisali rano po trzech dniach tego straszego widoku. Cała rodzina moja i inne dostali takie kartki z numerami przypinane na widocznym miejscu i po prowiant, bo nasz się już kończył. Każdy musiał jeść, bo się chciało. Ojciec tych wachmanów ugadał to po wannie dawali, kiedy pęczak, kiedy grochówkę, ale co to jest na tyle ludzi, jedna wanna, ale dobre i tyle. Były przepychanki bo się każdy chciał załapać, ale moment i wanna pusta, drugiej nie dali. Jeszcze próbował ojciec, ale się śmiali i mówili, że dobrze, że tyle dają. Inne grupy nie dostawały nic. Tak, że po znumerowaniu nas, a było tysiąc ludzi, taki uszykowali transport, po prowiant jeden z członków rodziny po jego odbiór do magazynu. To dali po bochenku chleba wojskowego, tego samego co ojciec przyniósł z pod Krasnosielca, za który siedział pod wozem. Na każdą osobę kilo kielbasy, takiej grubej, którą się dzisiaj nazywa mortadela.

Wyjazd z Działdowa

Wszystkim ze znakami i zaprowiantowanymi każą wychodzić, rodziny w komplecie, ustawiać się w rzędzie i maszerujemy do wagonów. Przedtem krótka mowa przez jednego z oficerów po polsku, żeby zachować spokój i dyscyplinę. Nie powiedział gdzie wiozą i dokąd idziemy grupą. Jak jest nas tysiąc to wiadomo, że ładny rząddek. Idziemy nad torami, przechodzimy przez tory, pociąg stoi przy rampie, wagony osobowe, każdy przedział, drzwiczki otwierają się na obie strony. Wchodzimy po dziesięć osób. Ponieważ nas było osiem osób a rodziny nie było, która by miała dwie osoby to się znalazła rodzina ze czterech osób. Tak że nas w tym przedziale było dwanaście osób.

Zbliża się czerwony zachód słońca, gdy jesteśmy załadowani do pociągu. Ojciec się pyta jednego z kolejarzy, który zamyka drzwi wagonu, gdzie nas będą wieźli, to mówi, do Generalnej Guberni. Pokazał na swoich ustach - nicht ferstejn, ojcu. Mówi, że pojedziemy w lewo. To jest tył pociągu, a parowóz przypieli do przodu. Znaczą, że nie w kierunku Ciechanowa, tylko w kierunku Torunia. Że i ten kolejarz też nic nie wie. Jest już ciemno, jesienny wczesny wieczór. Pociąg gwizdnął, wagony zasapily, lekko ruszył do przodu. W naszym przedziale mama zaczęła na głos mówić różaniec, wszyscy odpowiadają zdrowaśkami i różnymi pieśniami religijnymi. Noc pochłania swą ciemnością i nie wiadomo dokąd teraz pociąg jedzie, gdzieś w Prusy nie do Guberni. Dojeżdżamy do Torunia, poznaję z historii wieżę, która jest w Toruniu, no i most na Wiśle, daleko się oddalamy od Warszawy.

Z pół godziny pociąg stoi pod sygnałem. Stacja jest dobrze oświetlona ale pusta. Jedna młoda Niemka koło pociągu się zakręciła, przez uchyloną szybę w wagonie ludzie się pytają - co to za stacja. Nic nie odpowiada tylko wchodzi do budynku stacyjnego. Po jakimś czasie gwizd parowozu, odblokowanie hamulców i pociąg rusza. Pada deszcz, widać na szybach wagonu. Jest mocno ciemno a my jedziemy tym pociągiem bez zatrzymywania może ze dwie godziny, nikt nie ma zegarka. Zatrzymuje się gdzieś w jakimś tunelu, wtedy wszyscy ludzie w wagonach, płacz, lament, że będą wyprowadzać i strzelać. Ten obrazek trwał dobrze z pół godziny i każdy myśli co będzie, ale jest cicho koło pociągu i ciemno. Po jakimś czasie rusza, każdy ożył i jedziemy dalej. Jest już dobrze po północy, w domu to by koguty piały i by się orientował jaki jest czas, a tu nie.

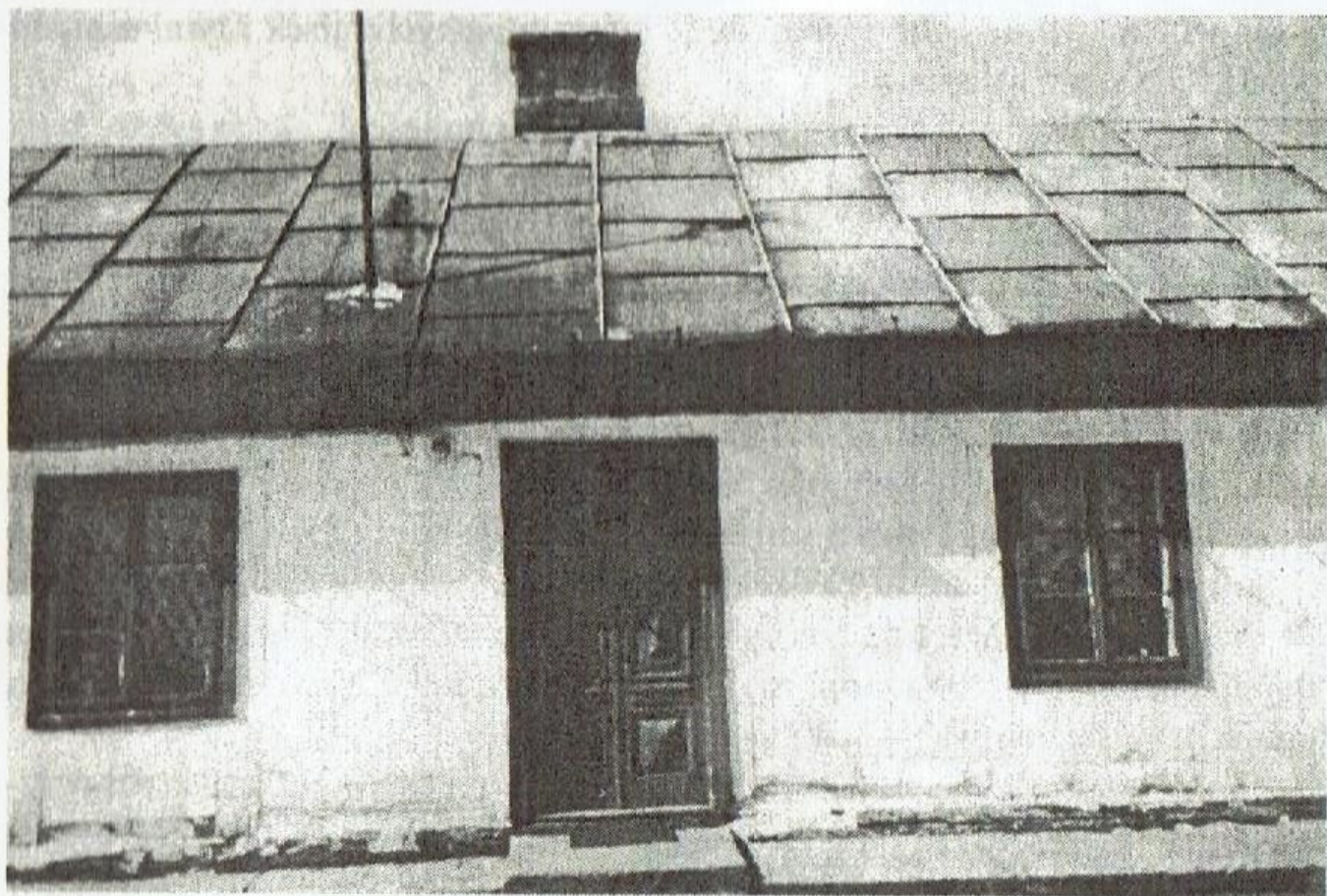
Z daleka widać oświetlenie jakiegoś miasta. Dojeżdżamy, jest Kutno, mały przystanek i jedziemy dalej. Noc po trochu ustępuje, są Koluszki. W Kut-

nie i w Koluszkach koło naszego pociągu kręci się więcej kolejarzy. Widać jakieś przyjemniejsze twarze, więcej życzliwego spojrzenia. Pociąg jedzie dalej. Zaczyna się chcieć jeść. Mama wyjmuje z tego prowiantu cośmy dostali i nas dzieli jedzeniem. Koluszki w tyle się zostają, jest dalej ciemno, szaro, małe przebłyski dnia, ale jak to w jesieni, to dzień późno się zaczyna robić. Dojeżdżamy do Skierniewic. Pociąg wyhamowuje, wagony skaczą po zwrotnicach, gdzieś w lewo jeszcze paręset metrów i się zatrzymuje. Nie jesteśmy pewni czy na jakiś postój czy koniec jazdy.

Na rampie i bocznicy dużo ludzi widać, polska policja granatowa, dalej dużo wozów konnych. Jest mglisto, otwierają kolejarze wagony, proszą o wysiadkę. Polska mowa, niektórzy się z nami całują. W nas wszystkich wstępuje inny duch, jakaś wielka radość, że jesteśmy u swoich, między swoimi. Jest dużo młodzieży z liceum Bolesława Prusa, pielgrzymek chyba z pół miasta nas wita, tyle serdeczności i troski jak nam pomóc. Zaczynają kompletować i nas rozdzielać. Moja rodzina jest zakwalifikowana na gminę skierniewicką. Opiekuje się nami wójt Łęcki. Wszystkich, co są przedzielone na tę gminę wiozą do szkoły, tego liceum Bolesława Prusa. Tam dostajemy gorący krupnik, kawę i znów taki sam prowiant jak w Działdowie. Podjeżdża pod nas wóz w gniadego konia zaprzężony, w chomąto, bo tam taka była uprząż. Wsiadamy całą rodziną, tego człowieka się pytamy jak daleko nas wiezie, mówi sześć kilometrów. Ta wieś się nazywa Wola Makowska. Człowiek bardzo rozmowny nazywa się Maciejak Wojciech, ponieważ w tej wsi było dużo Maciejaków, to tego nazywali fruck. Ale wiezie nas nie do siebie tylko on jedzie jako podwoda. Podjeżdża do następnego zabudowania i nas prowadzi całą rodzinę, a to ładna rodzina, osiem osób, drzwi otwiera. Jest już przed wieczorem.

W tym domu już wiedzieli o nas i jaka duża rodzina będzie u nich gościć. W domu są dwie panny, starsza ma na imię Katarzyna, a młodsza Bronisława. Gospodyni nie było, była przy oporządku inwentarza. Córki jak nas zobaczyły, to ta młodsza poszła po matkę, powiedzieć, że już jesteśmy. Jak potem opowiadały, myślały, z tej ziemi będą precz szły i szły te ludzkie. Kiedy przyszła gospodyni to zgała córki, że się nami nie interesują. Zapalają lampę naftową. Jest przy jednej ścianie taka długa ława, ledwo żeśmy się na nią pomieścili. Wystawiają stół blisko tej ławy, rozkładają miski blaszane, łyżki, miednicę z kluskami pszennymi i na rzadko malon z mlekiem, czyli bania. Mama nakłada ile się zmieści, a każdy je i je, bo dawno takiego jedzenia nie jadł.

Jest bardzo miła atmosfera, o wszystkim rozmawiamy, o wszystko się wypytują i gospodyni zarządza, jak mamy spać i kto z kim. Gospodyni bierze



Dom Aleksandra Maciejaka, syna gospodyni, u której pierwszy raz mieszkaliśmy. Zdjęcie z 1995 roku wykonane przez autora w miejscowości Wola Makowska.

do siebie dwie siostry najmłodsze, to jest Stefcie i Stasię. Najmłodszy brat Olek z ich synem Olkiem, te dwa łóżka stoją w komorze. W tej izbie stoi jedno łóżko, na nim śpi Katarzyna i Bronisława, a nas resztę do drugiej izby. Przynosi Olek, to jest syn, snopek słomy, dają jakieś płachty. Mamy do przykrycia jedną pierzynę i duży kożuch. Ta izba jest nie opalana.

Przed kolacją, jak się ojciec rozebrał z kożucha, a w nim była uszyta kieszka, a w tej kieszeni skrzypce, z którymi się ojciec nie rozstawał. Wachmani w Krasnosielcu i w Działdowie chcieli je zabrać i potłuc, ale ojciec zawsze ich ugadał, to i szczęśliwie je dowiózł. Po kolacji wszystkim się ciepło zrobiło i swojo. Domowa atmosfera. Ojciec zagrał pieśń „Kto się w opiekę poda Panu Swemu”, a gospodyni przywtórowała „a cała rodzina w sercem szczerze ufa Jemu”, to się taki świąteczny zrobił nastrój w całym domu. W całej teraz naszej rodzinie. To się zrobiła jedna wielka wspólnota. A gospodyni miała dzieństwo nie myte po tylu dniach pod s

pustu żeśmy byli na jednym garnku, jedliśmy z jednych misek i tymi samymi łyżkami, te same ręczniki.

To mnie się dzisiaj w głowie nie może pomieścić, ale to wtedy była bieda, klęska, wojna, to jedni drugim pomagali i ratowali. Nikt nie pytał, czy ma wszy, czy jakąś inną zarazę. To nie dzisiaj, nie wiadomo kto na co chory i jaką ma zarazę, to alkoholicy, narkomani, to z ejdsami. Wówczas takich ludzi nie było, bo Rudolf Höss by ich wyleczył i się nimi "zaopiekował"...

Gospodyni była wdową. Było w domu jeszcze nie żonatych, córka Kasia, Bronia, Olek, Edward i Marcin w wojsku, a w tym czasie jak my tam mieszkali, znajdował się w Rumunii, razem z armią, która się tam skryła. Pisał już drugi list, że niedługo wróci do domu. Marcin był też kawalerem ale sobie pobudował za drogą dom. Prowadził rzeźnictwo i sklep. Na wojnę go zagarnęli do wojska. Kiedy Marcina nie było to się tym zajmował Edward. Jak nieraz kupił świniaka i w nocy zabił, robił wyroby, to ja lub ojciec dokładaliśmy do ognia, żeby się gotowały kiszki i salcesony.



Andrzej Karwat - sąsiad Olka Maciejaka - zdjęcie wykonane w czasie okupacji około roku 1940 przez Ryszarda Ps...
... z Woli

Tego wieczoru, co nas przywieźli wieczorem przyszedł soltys, nazywał się Władysław Karwat, w bardzo pocieszającej sprawie a mianowicie, że jutro pośle furmankę po wsi o zbiórkę zboża, kartofli i kto co będzie chciał, da. Będziemy mieli dwadzieścia numerów gospodarzy, którzy będą obowiązani dać litr mleka, po kolejności. Kto nie ma mleka, to coś innego w zastępstwie. Teraz jest problem, kto pójdzie po tej kweście. Odważył się ojciec. Na zachętę się trafiło do uczciwego gospodarza, a był nim Władysław Urbaniak. Nie tylko dał ten litr mleka, ale i słoniny kawał i pół bochenka chleba. Tak się do wszystkiego trzeba przyzwyczajać. Zboża zostało zebrane koło trzech metrów. Z nadleśnictwa Zwierzyńiec, nadleśniczy nazywał się Jan

Niekraś, trzy metry drzewa na opał. Sołtys dał podwodę i przywiezione było na podwórze. Tym drzewem mało się paliło, bo w chałupie, cośmy mieszkali, nie było ani pieca ani kuchni.

Tak żeśmy u gospodyni przesiedzieli całymi dniami, dawała nam jeść. Dwie siostry poszły na służbę - Aniela i Jadzia, do Skierniewic. Prawie za życie i jakąś odzież. Mama umiała szyć, to co w ręku, jak się zapoznała na maszynie u sąsiadów. Te panie, u których te siostry służyły, ojca pokierowały do roboty w Skierniewicach, to rąbać drzewo, to wrzucić do chlewka lub piwnicy węgiel a jak przyszła wiosna to kopanie ogródków. Dostaliśmy działkę warzywną w Skierniewicach, jedna z tych pań nam ją załatwiła. U gospodyni mieszkaliśmy, tak nam dobrze było, do zapustu, bo najstarsza córka Kasia wydawała się za mąż i trzeba było nas przeprowadzić na drugą kwaterę do Jana Łukasika.

W tej wsi już było dwie rodziny z Bydgoszczy, Pinaki z dziewięciu osób i Trojanowscy ze czterech osób. Dużo u swych rodzin się ukrywało, a to z Łodzi, to z Milanówka, a to i ze Skierniewic, tak że w każdym domu było ludno. Mała rodzina jak się składała z ośmiu osób, tak że o jakim zarobku nie było mowy. Tylko w Skierniewicach to się trochę zarobiło.



Jan Kozłowski -
mieszkaniec Skiernie-
wic - wywieziony na
roboty do Niemiec. W
czasie okupacji sąsiad
z Woli Makowskiej.

Przychodzi wiosna 1941 roku, zaczynają się branki do Prus na przymusową robotę. Ja jestem kulawy, mam propozycję żebym się wsta-
wił na komisję za Maciejaka Stefana. On jest rze-
źnikiem, nieźle mu się powodzi, daje mi 500 zło-
tych i do domu przynosi dobrą wałówkę. Mówi,
że z kierownikiem arbeidsamtu jest wszystko
omówione, aby tylko była sztuka i będą obydwaj
kryci. Ja pierwszy raz podejmuję takie ryzyko i
się zgadzam. Jedzie podwoda co wiezie czworo
na tę komisję, dołączam i ja. Razem jedziemy na
stację kolejową, bo tam jest ta komisja.
czekalni nas obtaczają SS. Jest na-
ście osób i zapowiadają, kto si-
jakiś chory, niech wystąpi
stanie przebadany po c-
wy na Skar-
P-
badaniu

się boję. Jeden z tych wachmanów widział, że ja kulawy, mówi do mnie, czego ja się ociągamy i nie idę w te drzwi, gdzie znajduje się komisja. Pytają się, jak się nazywam, Stefan Maciejak, patrzą, a tak mi się gorąco zrobiło jakimś powiedziało to nazwisko. Zobaczyli tę nogę i do domu podstemplowali bilet i przechodząc koło tego wachmana, on się patrzy na mnie i ten bilet, że tu jest różnica o pięć lat i ten wachman mówi, tak młodo wygląda a taki stary i puścił. To jakimś wyleciał z tej stacji to chyba skrzydeł dostał. Nie wiadomo kiedy przyszedłem do domu.

Był ciepły wiosenny wieczór, górą leciały dzikie gęsi z gęganiem, zapach świeżego zielonego żyta, czuć było, że już się zaczyna naprawdę wiosna. Ostatni tydzień przed Wielkanocą zanosi się, że będą nieliczne święta, tylko coś serce mi się niepokoi, nie mogę spać a nóż może się wydać a wiadomo co za to grozi. Ale zaraz przychodzi ten Maciejak i pociesza, żeby się nie martwić, jest tak załatwione, na amen się nie wyda. Ja zaraz po świętach idę do szpitala się leczyć na tę nogę, leżę do sierpnia. Gdzieś pod koniec maja odwiedza mnie mama i Aniela i mówią, że się dopatrzyli, że takich jak ja, cośmy się podstawiali na tę komisję to w skierniewickim arbeidsamcie jest przeszło czterdziestu i wszystkich biorą do ciupy. Były dobre informacje, bo tej pani Staszewskiej, co służyła Aniela, córka pracowała w kryminalnej policji. Miała na imię Barbara. Teraz będzie koniec, znów nie mogę spać całą noc.

Jest poniedziałek. Po wizycie lekarskiej jest na dyżurze siostra pielęgniarka, nazywa się Helena Sybilska, wysiedlona z Poznania. Telefon do szpitala z kryminalnej policji. Ja jestem na sali opatrunkowej, pytają się o mnie. Odbiera pielęgniarka i jest informowana, że jestem do dyspozycji policji, żeby miała na mnie oko, bo zaraz będą, a ja słowa nie mogę przemówić. Ona patrzy na mnie i pyta, co ze mną. Mówię, że to zrobiłem z biedy, że po co oni nas wysiedlili. Ona mnie poucza żebym się tak tłumaczył, że ja chciałem jechać do Prus, a karty nie dostałem to wziąłem od Maciejaka. Jak mnie zbadali, że jestem niezdolny to przyszedłem do szpitala żeby się wyleczyć i jechać do Prus.

Nie upłynęło z pół godziny, wyglądam oknem. Idzie taki wysoki blondyn z teczką w ręku. W szpitalu na oddziale jest tylko ta siostra, zwraca do niej po niemiecku, ona odpowiada bo umie, gdzieś. Ona mówi, że w laboratorium i mnie woła. On mówi, że będziemy rozmawiali grzecznie, czy nie. Ja mówię, że mam maszynę do bicia i maszynę do pisania. Każe mi, że sam przy maszynie spisuje personalia, niedobrze. Jak to było, czy jestem

świadomy, że postąpiłem na szkodę Rzeszy, a ja mówię, że nie wiedziałem, że kulawych nie biorą, ale jak się wyleczę, a jestem w szpitalu to pojedę do Prus. Po napisaniu protokołu każe podpisać. Podpisuję. Na odchodnym mówi, że jestem do ich dyspozycji. Ze szpitala jak się będę chciał wypisać to za ich wiedzą. To samo mówi siostrze. Zabrał się i poszedł, a ja trochę odetchnął.

To leczenie nie pomaga nic, ale leżę do końca sierpnia. Jestem najstarszym pacjentem, mam się chęć wypisać i się boję. W końcu się zdecydowałem no i tak po wypisaniu dzwonią na kryminalną. Patrę w okno, idzie po mnie ten sam blondyn i się pyta, jak zdrowie, a ja mówię, że słabo. No to zobaczymy - mówi - no idziemy. Jest czwartek, dzień targowy w Skierniewicach. W nocy i rano padał deszcz, była burza, ludzie ulicą idą zmoknięci. Ten policjant ma parasol w jednej ręce, a drugą trzyma w kieszeni na spuście rewolweru. Idziemy lepiej z kilometr ze szpitala do magistratu. A jak my prędko przeszli, nic specjalnego nie zdażyłem zobaczyć i już jesteśmy w bramie.

Drzwi się szeroko otwierają i dyżurka. Widzę naczelnika więzienia, nazywa się Lagosz. Ja go znałem, bo on przychodził do gospodyni kuchni i on też mnie poznał. Ten policjant mówi, że jesteś włączony do sprawy Rytera. A ten Ryter to był kierownikiem arbeidsamtu. Po spisaniu danych nacika na dzwonek, przychodzi klawisz i każe pod dziewiątkę. Idziemy korytarzem ze dwadzieścia metrów. Ja się chcę rozglądać i liczyć numery, a tu patrę i już drzwi się otwierają. Na sali jest już siedmiu chłopów, ja ósmy. Wszyscy na baczność stali jak mnie wpuszczali. Przechodziliśmy przez dwie bramy. Na sali duża ława, w rogu sienniki ułożone, kubek do załatwiania się. Klawisz drzwi zamknął i poszedł.

Za chwilę przychodzi i bierze dwóch, idą po obiad i niedługo roznoszą po celach. Przychodzą pod moją, ja jeszcze nie jestem w spisie, ale że się moi towarzysze o mnie upomnieli i jeden szybciej zjadł. Na jego miskę mi dali trzy kluski z mąki razowej. Chętnie zjadłem, bo nie jadłem kolacji i śniadania od zmartwienia. W międzyczasie jeszcze doszło dwóch, tak że na noc będzie nas dziesięciu a sienników jest siedem. Ja jestem najmłodszy, ci koledzy mną się opiekują i interesują. Tak mówią, że mnie wezmą w środek na siennik. Teraz mocno żałuję co zrobił. Miałem wolność, a tu pod kluczem, okienko wysoko, nie wolno z ławki na plac wyglądać. No ale co robić, nic nie poradzisz, czekać co da los, tylko zasłychnałem jak ten policjant powiedział, że niedługo.

Godzina piąta, na dworze ładna pogoda, ciepło sierpniowe. Roznoszą kolację, przychodzą pod moją celę, znów się o mnie upominają i dostałem. Był pęczak, bardzo dobry, za mała miska. A tym co po mnie przyszli nie dają, tylko

ci koledzy im po trochu odstepili. Przychodzi godzina szósta, salami do kibla. Przychodzi i na moją celę kolej, idziemy, jest sześć siedzeń, tak że ja na drugą turę. Po załatwieniu się przygotować się do spania. Jest rozkładanie sienników, ale słucham, idzie klawisz, mija pierwszą bramę, już my wszyscy na baczność stoimy. Otwiera złodziejkę i się pyta czy tu jest Szermijski. Wszyscy się patrzą jeden po drugim, nie ma, to on poszedł, za moment przychodzi z kartką i ma napisane - Cierliński jest? - Jest. - Wychodzić! Idziemy w podskokach do dyżurki. Oddają mi dowód, parę złotych, które były mi zabrane jak mię wprowadzali do celi i do domu. Jest już szaro, ciepło, mało ludzi chodzi po mieście, a ja rwę - terazniejszym odrzutowcem by mię nie dogonił.

Przychodzę i mówię, co i jak, a mama mówi, że była u pani Staszewskiej i mówili na kryminalnej, że za nas zapieczętował ten kierownik arbeidsamtu i że śledztwo zostało umorzone.



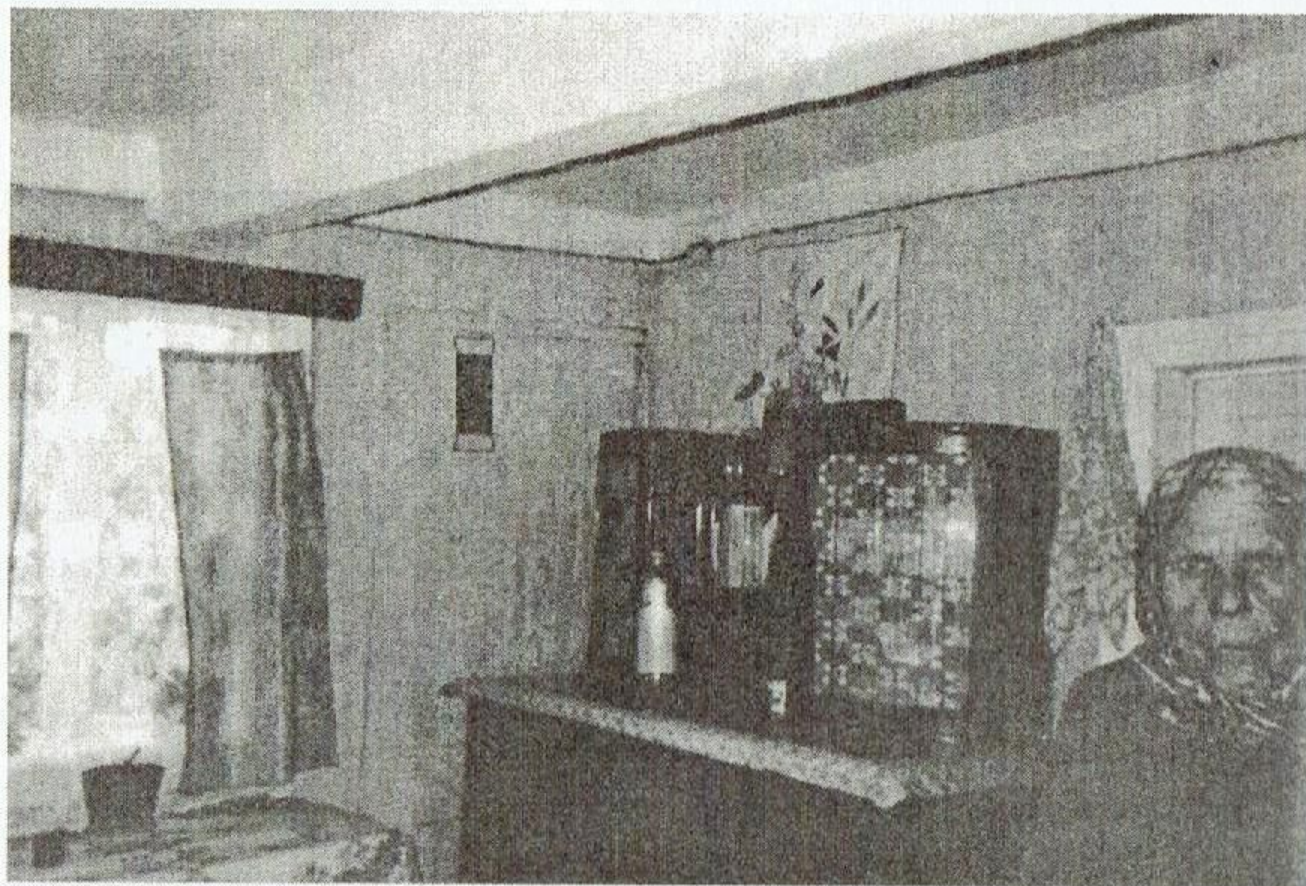
Jan Maciejak - sąsiad z Woli Makowskiej,
na swoim podwórku z żoną.

Na kwaterach



Dom Władysława Łukasika - sąsiada z Woli Makowskiej.

Jesteśmy na drugiej kwaterze u Łukasika Jana. Na wiosnę jeszcze jedna siostra poszła służyć we wsi do krów. Stasia, chodziła do szkoły, to myśmy ją zmieniali z ojcem. Dostaliśmy kartki żywnościowe. Było na tych kartkach, chleb, mięso, marmolada, cukier, w sumie 49 punktów, wszystkiego po parę deko, tylko cukru cztery kilo na osobę, tak że trzy osoby ubyło, a kartek osiem to trochę nadleciało. Do wsi wysiedlonych przybywa, z Łodzi, z poznańskiego, już nie wiadomo ile rodzin i osób. Ta kwesta się skończyła, każdy chodzi po proszonym na swoją rękę, tak że tych dziadów to dziennie się przewaliło i ponad dwadzieścia. My się trochę zagospodarzamy. Znów mamy pod ręką olejarnię i nieraz to całą noc poganiamy konia w kieracie, a rano dostajemy niekiedy pół litra, niekiedy więcej oleju. Do roboty chodzimy we troje do Skierniewic. Obaj, ojciec i ja, kopiemy ogródki szpadlami, dostajemy życie i jakąś zapłatę. W wolnych chwilach ojciec gra na skrzypcach. Życie się pomalu toczy.



Żona Władysława Łukasika w swoim mieszkaniu
w Woli Makowskiej.

W maju trzecia przeprowadzka do Andrzeja Piotrowskiego na kolonię zwierzyniecką, bliżej do Skierniewic i Zwierzyńca, to jest lasu i nadleśnictwa. W nadleśnictwie jest nadleśniczy Niekruś Jan oraz gajowy Kamiński Marian. Gdy mnie pierwszy raz spotkał w lesie, niosłem chrust, to mnie skrzyczał. Ale później, jak żem się zapoznał, to chodziłem i nic nie mówił. Nieraz u niego zabawiałem w dachach, a były tam takie ładne dziewczyny, jedna Matylda a druga Krysia, to czy byłem potrzebny, czy nie poszło się do towarzystwa. Bo ta Krysia to cud dziewczyna. Przyszła niedziela to chłopaki, jaki kto miał czas, tośmy szli na gajówkę. Tam gramofon i zabawa, aż echo szło po lesie. Niemcy się mało znajdowali w tych lasach. Czasem przez wieś się przejechali na rowerach lub żandarmi bryczką, ale było spokojnie. Nieraz po kogoś przyjechała granatowa policja nasza. Jak ktoś coś ukradł, to oni mieli takie zadanie. A polityczni i gospodarczy to byli już Niemcy. Też nie mieli żadnych samochodów tylko rowerami się poruszali. I tak leciał rok za rokiem.

Do kościoła chodzimy do Makowa, trzy kilometry do Skierniewic. Sześć dziadów, pełna wieś kobiety i mężczyźni młodzi dostają po dwa kartofle, a jak się modlą, jak śpiewają. Na rynku w mieście są w targ inwalidzi wojenni o

jednej nodze lub ręce. Zapamiętałem jedną piosenkę jak śpiewało czterech żołnierzy, ubrani w mundury i czapki polskie.

Ta piosenka:

W suterenie za miastem,
gdzie jest nędza i głód.
Nad maleńką kolebką niewiasta
tak nuciła synkowi do snu.
Śpij syneczku, śpij koleczku,
mama pobieży po mleczko.
A dobry Pan Bóg daże mi,
że wychowam ciebie.
Aj luli laj, aj luli laj.
Lat dwadzieścia minęło w spokoju
jakiej syn wyrósł robotnik i zuch.
A tu wieści precz krążą o boju,
a w fabrykach jest nędza i głód.
Syn przychodzi strudzony do domu.
Mówi, mamó, ja idę na front,
a matka jak dawniej śpiewała mu.
Śpij syneczku, śpij sokole,
jutro wyruszasz na pole.
Ja będę się modliła,
żebyś ciebie doczekała.
Aj luli laj, aj luli laj.
Na wojсковym cmentarzu za miastem,
gdzie rząd krzyży stoi jak las,
nad niewielką mogiłą niewiasta,
tak nuciła synowi jak wpierw.
Śpij syneczku, śpij żołnierzu,
twoi koledzy tu leżą.
Na grób ci krzyżyk dali,
a życie ci zabrali.
Aj luli laj, aj luli laj.
Na krzyż odznakę dali, Virtuti Militari,
a życie ci zabrali.

Getto żydowskie w Skierniewicach jest likwidowane. Przewozi ich się do Rawy Mazowieckiej. Są długie sznury podwód konnych, które podjeżdżają pod tych Żydów, którzy czekają na swoją kolej na furmankę. Muszą się prędko zbierać i wsiadać na wóz. Młodszym to wychodzi, ale starym to ciężko. A jak ci ludzie wyglądają. Są lichy ubrani, bo już lepsze ubranie i obuwie sprzedali na życie. Zanędnieni, oczy podpuchły, twarze brudne, tylko te gwiazki żółte to są widoczne, a reszta ubrania nie wiadomo jakiego koloru.

Po załadowaniu obstawa przez wachmanów i kierunek Rawa Mazowiecka. Jest ciepła wczesna wiosna budząca tyle życia i przyrody, a tu tych ludzi koniec życia. W rozmowach cichych każdy się dziwi, co to nic nie robi Stalin. Bo tylko dla Żydów i Polaków Stalin i Rosja, która może coś ukrócić tego nieszczęścia i tej klęski. Hitler nie próżnuje tylko się szykuje do druzgocącej napaści na ZSRR. Całymi nocami i dniami ładują na pociągi z rampy kolejowej, na którą nas przywieźli. Teraz wciągają armaty, po sześć koni belgijskich. Są to tak konie duże i ciężkie, z krótkimi ogonami, że nie ma ciężaru, którego by nie pociągnęły. Wojska pełne koszary, jedzie pociąg za pociągiem, wszystkie w kierunku Warszawa i Bug rzeka.

Coś wisi mocno w powietrzu z jakimś wyładowaniem i każdy zachodzi w głowę, jak będzie przebiegała ta wojna, na którą się przechyli szalę. A napięcie rośnie z godziny na godzinę. Wojska, które kwaterują w Skierniewicach, idą na ćwiczenia na poligon do Zwierzyńca. Trójkami, kompania za kompanią i śpiewają „Dojczland, iber ales...”, druga kompania „hajla, hajlu, hajla”. Tak śpiewają idąc na ćwiczenia i po paru godzinach z powrotem słysząc ten sam śpiew. Szykuje mi się drugi zarobek. Na placu przy szkole w Skierniewicach jest dużo podwód konnych, którymi jadą chłopcy pod nadzorem organizacji Toda. Ci chłopcy oddają konie z zaprzęgą i wozem, żeby był ktoś zastąpić. Para koni i wóz to majątek. Jak by poszło na niekorzyść Niemcom, to by było dobrze, ale jak w odwrotną stronę - to krucho. I rad bym i się boję, ale się nie zdecydowałem. I dobrze, bo niektórzy, to się znaleźli pod Stalingradem i powracali bez koni i wozów.

Nowa wojna

Nareszcie wojna niemiecko radziecka się zaczęła. Każdy odetchnął i patrzy, jak będą uciekać Niemcy, a tu staje się inaczej. Do Warszawy przychodzą pociągi z rannymi żołnierzami niemieckimi ale Niemcy prą do przodu. W rynku w Skierniewicach jest zainstalowany głośnik radiowy. Nadają z Krakowa o przebiegu walk na frontach. Pod tym głośnikiem nieraz stoi ze sto, albo i więcej ludzi i słuchają komunikatów. Są podawane o siódmej rano, o dwunastej i trzeciej po obiedzie. Na południe jest grany hejnał z wieży Mariackiej i nadają. Padł Brześć na Bugu, Pińsk, Lwów, Stanisławów. A więc Niemcy nie uciekają, tylko prą do przodu. Rośnie ich buta i potęga. Na główniejszych ulicach są transparenty, na których piszą po niemiecku, „Dojcie Zyt an ales”, „Zwycięstwo Niemiec na wszystkich frontach.



Weronika Janus - siostra gospodyni Stanisławy Bejdy z czwartej, ostatniej kwatery.

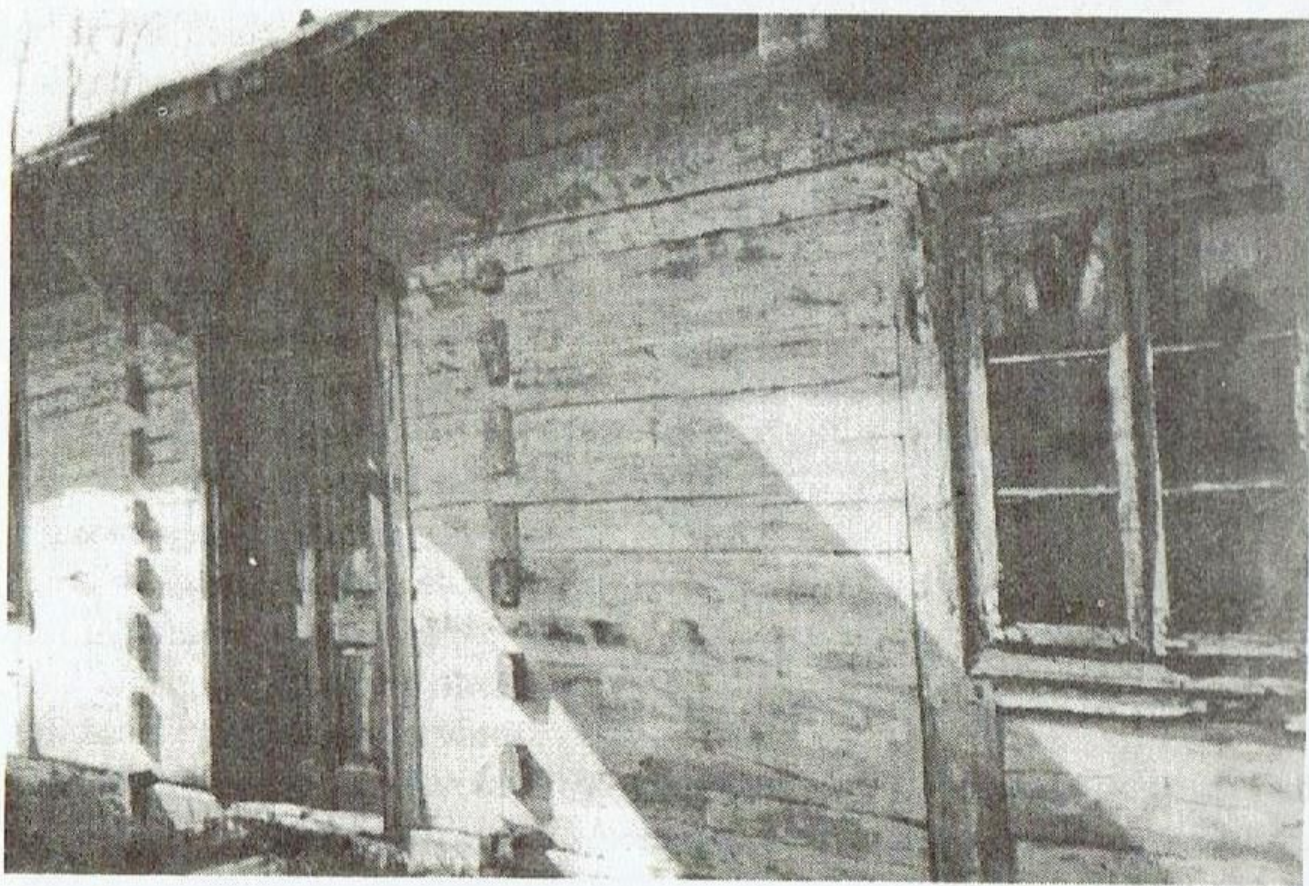
bo już jest tyle ludzi w każdym domu, że nie ma mowy. Zaczynają się kłótnie i docinki, dosyć na tym, że na zimę zostajemy u tego gospodarza.

Często nam się trafia stróża, to jest pilnowanie torów kolejowych. Gospodarze nas wynajmują, dają życie i jakąś zapłatę - z ojcem chodzimy. Kiedy w nocy, kiedy w dzień - trzeba pilnować. A to nie tyle pilnowanie, tylko w razie

Są już zniwa, chłopcy biorą kosy na plecy i idą do swojej pracy. Nie czekają, trzeba chleb zebrać bo każdy chce jeść. Dziadów wysiedlonych i ukrywających się już nikt nie liczy i nie oczekuje żadnej pomocy. Kto ma kartki, kto nie, jakoś wszyscy żyją. Zbliża się druga zima na tym wysiedleniu. Mieszkamy już na czwartej kwaterze u pana Wacława Bejdy. Na wykopkach żeśmy zarobili z sześć metrów kartofli, brakuje zadołować na zimę. Gospodarz nie pozwala, że sołtys mu powiedział jak nas wprowadzał, że w grudniu nas przeniesie do kogoś drugiego. Sołtys już nie ma gdzie przeprowadzać,

do szupów partyzantka i jak chcieli tory wysadzić to wysadzili. Nam się to nie trafiało.

Na tej kolonii jest widoczność na szosę od Skierniewic. Kto przyjdzie to jakieś wiadomości przyniesie, to gazetę. Są dwa tytuły, Nowy Kurier Warszawski i Gонец Krakowski i dużo ulotek podziemnych. Jak się to teraz mówi, na ksero, a kiedyś powielacz. Najwięcej przynosi kolejarz Józef Pokrop. U niego jest cały schód ciekawych. Jak ma przyjechać z roboty, a jeździł do Skierniewic rowerem, to wszyscy szli coś się dowiedzieć. To łapanki na kolei, szmuglerzy, to politycznych, którzy uciekali w pościgu, to wiszących na szubienicach. Prawie nic nie ma pocieszającego. Na odwagę zawsze zakończył, „słonko wyżej, Sikorski bliżej”. Aż tu raz przynosi wiadomość, że Sikorski zginął w katastrofie lotniczej nad Gibraltarem, to jak nas było kilkunastu chłopów, tośmy wszyscy zapłakali. Nikt nie chciał płakać, a łzy same szły z oczu. Tyle nadziei każdy pokładał i raptem się urwało.



Budynek szkolny z czasów przed wojną i w czasie okupacji. W czasie okupacji szkoła była czynna, całe 7 klas. Chodziły młodsze dzieci w czasie zimy a w lato dzieci wysiedlonych musiały pracować (paść krowy).

Spółeczność skierniewicka

W okolicach Skierniewic są zorganizowane różne bandy złodziei. Nocami napadają na bogatych rolników, młynarzy i kupców, zabierają biżuterię, odzież, no i pieniądze. A młynarzy to co druga wieś to jest po trzy młyny wodne, bo wtedy była na nie moda. Mokra Lewa - trzy młyny, Słomków - trzy młyny, coś Jacochów i Sierakowice. Ci złodzieje to rabowali i żadnego pokwitowania nie dawali, ale były i jednostki AK. Oni też coś rekwirowali, ale dawali pokwitowanie. Kwituja Kuby, to była jednostka AK. Także do tej jednostki, należał i mój Stefan Maciejak, za którego się podstawilem do tych Prus. Umarł w 1945 roku w jesieni na gruźlicę.

A z tymi bandami złodziejskimi, to było raz tak. Jest przewodnia niedziela 1943 roku w nocy, popadał mały śnieg. W Jacochowie w nocy zostały okradzione dwa młyny. Ktoś zameldował i jest obława. Ludność dwóch wsi Słomkowa i Jacochowa z żandarmami i policją granatową. Pościg w kierunku Woli Makowskiej, a było ich pięciu. Jednego przy wsi zabili, drugi skrył się do stodoły. Ten w stodole ukrył się na poddenkach, strzelili kulą zapalającą w stodołę. Po rozgrzebaniu spaleniska został znaleziony. Miał przy sobie ruble ruskie, które były zrabowane na jednym z młynów, czyli młynarzy. Jeden uciekł do Makowa, zabrał konia od gospodarza i uciekł w kierunku Godzianów. Dwaj się gdzieś zapodzielili. Najprawdopodobniej dołączyli do obławy i by był koniec, ponieważ to była niedziela.

Gdzieś we wtorek w drodze do nas młody człowiek słabo ubrany i obuty i prosi żeby mu pomóc. Ponieważ ja z rodziną mieszkalem na brzegu wsi, to nie było dnia żeby ktoś się nie trafił i prosił o jakąś pomoc. My byliśmy wysiedleni, to tam nam na niczym nie zależało, a w tę niedzielę ojciec był w Rowiskach. Tam służyła siostra Aniela u pana Bolesława Krzemińskiego, gospodarz na okolicę, duży sad, badylarstwo, więc brak ludzi do roboty a zwłaszcza mile widziany jakiś chłop. No i ojciec z nim poszedł do tego Krzemińskiego. Przyjęli z podziękowaniem, dali za to z pięć kilo mąki, torbę kaszy i chłopak się został. Pomaga w obejściu gospodarskim i roli, a jest wiosna, koniec kwietnia to taka okazja, takiego robotnika to trzeba poszanować.

Gospodarze mają dwoje dzieci na studiach, oni tak zapracowani i zacharowani. Dwa razy w tygodniu na targu w Skierniewicach, pieniążki ciulają i odkładają. Tych ludzi, którzy u nich robią, za nic nie mają, jedzenie pod wydziałem, chleb pod kluczem. Ten chłopak, którego ojciec zaprowadził, nazywał się Antek Warszawski. "Ja nie żyję z niczyjej łaski, dzisiaj ja tu, jutro tam,

ja wszystkich frajerów w kieszeni mam". Miał bystre oko i dobre rozeznanie, że prędko znalazł schowek, gdzie pan Krzemiński chowa pieniądze. Był czwartek, dzień targowy w Skierniewicach. On i moja siostra Aniela mają nakazane żeby dziabali agrest i porzeczki oraz je nawozili obornikiem. Po jakiejś godzinie rzuca widły i tak po chłopsku zasadzi. Mówi do siostry, że odchodzi. Jaka przyczyna też nie mówi i poszedł w drugim kierunku, a przyszedł do mnie.

Ja u swojego gospodarza obcinałem wierzby na wiosnę. Siedzę wysoko na drzewie, a tu moja matka mnie woła, że przyszedł Antek. Schodzę i idę do niego. Po przywitaniu mówi, przydało by się coś wypić, daje mi pięćdziesiąt złotych. Poszedłem do pana Mietka, który robił bimber, przynoszę, rozlelim w musztardówki, w głowach się przejastrzebiło. Poszlim do Hlacka, który prowadził sklep spożywczy i też miał bimber. Jemu po setce, no i idziemy do mnie na noc. On za wszystko płaci. Po drodze idziemy, tańczujemy, po niemiecku szprechamy „dojczy kaput”. Ja miałem takie wyrko do spania, ale on by się ze mną nie zmieścił. Położył się w kącie na podłogę, urzygał się dookoła. Ojce poprzychodzili z roboty, a my już śpimy obaj jak trupy. Na drugi dzień ojce poszli do Skierniewic. My jakżeśmy się wyspali, te rzyganiny pozmywali i poszlim obmywać się do rzeki.

On wszedł w wodę, ja go wycieram takim wiechciem. Patrzę się, a on przekłada pieniądze z jednej kieszeni do drugiej. Takie harmonije, mnie aż oko zbiegało. On się zgodził 700 złotych na miesiąc, a ledwo był ten miesiąc i tyle pieniędzy ma? Po obmyciu pożegnał się i poszedł w kierunku Nieborowa, a stamtąd pociągiem miał jechać do Breslau, tak mówił. Ja go się pytam skąd ma tyle pieniędzy. Odpowiada - Coś ty frajer, ja kiedy nie miałem pieniędzy? On znalazł schowek gdzie ci gospodarze chowali pieniądze, gdzieś w oborze znalazł. Jak ci gospodarze przyjechali z targu, chcą dołożyć utarg do kasy, a tu kasy nie ma.

Wtedy krzyk w domu, pytają się siostry gdzie Antek, gdzie poszedł, o jakiej godzinie. Ona nic nie kapuje, co się stało. Mówi, że o dziesiątej i poszedł w kierunku Płyćwi, to teraz gospodarz i syn oraz sąsiad na konie i pojechali w tamtym kierunku, co im siostra powiedziała. Objeździli do wieczora całe okolice i go nie spotkali, a on w prostej linii był dziesięć kilometrów u mnie i się bawił. Nie wyglądał wcale na zmartwionego, a tych pieniędzy podobno było na maszynę szerokomłotną z silnikiem i drugi wóz gumowy. Jednym słowem majątek. U nas jak leżał taki urzygany, kto by pomyślał, że on w kieszeniach, tych urzyganych, może mieć tyle pieniędzy. Syn po jakich trzech dniach na koniu do nas przyjechał; czy prawda że on był u nas...

Po pożegnaniu się z Antkiem mam jakieś wyrzuty i niepokój. Coś mnie gryzie, czuję że może być sprawa niewesoła. To poszedłem do lasu, to się przechodzę po wsi, nie mogę sobie miejsca dobrać. W końcu położyłem się na swoje wyrko i leżę. Gospodarz rąbie na podwórku drzewo koło parkanu. Jest dobry zły pies, nazywa się Łatek. Parkany były tam takie robione z desek, jedna deska przy drugiej, bita że jak się na haczyk na dole zamknęło, płot dobrze z dwa metry wysoki, to było się ciężko dostać.

Tak było i tego dnia, furtka była zamknięta na ten haczyk ze względu na tych dziadów, którzy się całymi dniami naprzykrzali. Gdy tak leżę, nie śpię, słyszę gwałtowne ujadanie wystraszonego psa. Gospodarz otwiera furtkę, pytają się czy tu mieszka Cierliński. Gospodarz mówi, że tak. W tych drzwiach na lewo ja słyszę. Tam była przyzba, to jest chodnik kamieni, brukowców. Tyle idzie nóg! Otwierają drzwi i patrzę się, jeden, drugi, trzeci, czwarty, razem czterech. Ja tu leżę to jak jeden wrzaśnie, policja kryminalna a ty leżysz, wstawać i śpiewać kto był u ciebie wczoraj, jak się nazywał, com robili obydwu. Jeden pisze protokół, dwóch się kręci po podwórku, jeden mnie przesłuchuje, ja wszystko mówię po kolei.

Po sporządzeniu protokołu każą podpisać i mówią, że go złapali w Łowiczu, nie jest groźny. Mnie zostawiają, tylko mówią żebym był przygotowany zawsze na ich odwiedzenie, ale do końca wojny nie byli. Tego gospodarza to powiadomiła policja, że on był u mnie. To jest początek czerwca 1942 roku. Wojska niemieckie prą naprzód, w listopadzie są już pod Moskwą, a na początku stycznia 1943 roku pod Stalingradem. Drugiego lutego Niemcy ponoszą klęskę. Przeszło stutysięczna armia z marszałkiem Paulusem dostaje się do radzieckiej niewoli. Niemcy po trochu się cofają na zachód. Odnajdują pod Smoleńskiem groby polskich oficerów, których NKWD pomordowało. Robią ekshumację. W tych dwóch tytułach gazet jakie się ukazywały w Protektoracie, jak Nowy Kurier Warszawski i Goniec Krakowski, jest półstronicowa suplika, gdzie jest opisane, co się przy tym oficerze znalazło, jakie dokumenty, jak się nazywał, jaki stopień, w jakiej jednostce służył. A to było, że w kieszeni, miał kawałek chleba zawinięty w chusteczkę, to jakieś zdjęcia, przybory do golenia.

Tak było dokąd Czerwona Armia tego Katynia nie zajęła i wtedy to wszystko się urwało. Nie wszyscy w to wierzyli, czy to możliwe. W tym czasie kiedy się ukazywała ta rubryka, to te gazety szły jak woda. Każdy był ciekawy, a w każdym numerze tych nazwisk było co najmniej po osiemdziesiąt. Niemcy się tym chcieli podchlebić, jakie ci kacapy są dla świata wrogi. Na kopertach listów był znaczek dodatkowy, bolszewik to antychryst, odrywa Pana Jezusa od krzyża - jak największą wrogość zaszczepiać w narodzie.

Planowy odwrót

Niemiecka buta się załamuje. Wielka armia marszałka Romla jest wypierana przez wojska sprzymierzone z pustynnych piasków w kierunku Włoch. Zostawiają Cyrenajkę, Trypolis, Tunis, przeskakują z wyspy na wyspę, już na Korsyce, już Sycylia no i Włochy. Po niejakiem czasie zamach na Ducze, obejmuje rząd Wiktor Emanuel. Ducze zostaje odbity, ale w armii włoskiej panuje rozwiązłość. Niemcy starają się przywrócić porządek, ale im to nie wychodzi. Zachodnia armia prze naprzód, między innymi nasz generał Władysław Anders, straszne walki o Monte Kasyno. Armia radziecka prze na Berlin, Niemcy są wyparci z zagłębia Donieckiego, spod Stalingradu, Moskwy, Leningradu, zostawiają dwa jeziora, Ładogę i Ilmeń, o których tyle pisała niemiecka prasa. Głośnie na rynku, w którym się słyszało „tu Kraków i wszystkie rozgłośnie Generalnej Gubernii”.

Główna kwatera furera donosi, że względów strategicznych zostaje linia frontu sprostowana i wycofana na dogodniejsze miejsca strategiczne. Zostają wyparci z portów na morzu Czarnym, jak Sewastopol i Odessa. Nie słychać dudnienia armat, ale ćmi klęska Niemiec, a komunikaty dla nas pocieszające. Już zdobyty Kobryń, Brześć nad Bugiem, Wilno, Pińskie Błota, Puck, Lwów, Stanisławów. Jadą pociągi w kierunku Niemiec. Widać złom czołgów, samolotów, różnych samochodów. Idą kompanie do Zwierzyńca, nie śpiewają „haj li, haj la”, idą smutno. Na ulicach Skierniewic widać różne wojska, to Mongoły, to Rumuńskie, to Węgierskie, to w niemieckich mundurach Własowcy, ci co przeszli na stronę niemiecką pod dowództwem pułkownika Władysława Własowa.

Warta na kolei jest wzmocniona i we wsi, a mój Pokrop przywozi coraz to ciekawsze wiadomości. Tam pod Kutnem szyny rozkręcone, wykoleiły się dwa pociągi, to most gdzieś na torze wysadzony, to tam a tam dziesięciu powiesili, to rozstrzelili. Żyje się grozą i niepewnością jutra ale życie się toczy, ma swoje prawa. W lasach zwierzyńskich są zadołowane wielkie składy paliwa, są pokopane rowy dobrze z metr, beczka przy beczce, kanister przy kanistrze, a nawet w stodole i różnych szopach gaz holc, to jest drobne, twarde drzewo porżnięte na krótkie kawałki, dobrze suche. Na samochodach są piece na parę, że w razie czego to będą się posługiwali takim paliwem.

Niestety tego paliwa Niemcy na froncie nie wykorzystali. Gazety niemieckie piszą o nowej tajnej broni. Każdy się zastanawia, co to może być za broń. Plotki różne krążą, a to tam gdzieś koło Kutna coś spadło w budynki

gospodarskie i zostały doszczętnie zniszczone, a to tam ktoś słyszał straszny szum i huk, a potem niemieckie komunikaty donoszą o fau jeden i fau dwa. Tak dobiega rok 1943, jest zima lekka, mało śniegu, prawie całe dni są słoneczne, w nocy małe przymrozki. Dobry klimat dla biednych i ubogich, nie potrzeba dużo opału, obuwia i ubrania. Jak kto może, sobie radzi. My z ojcem całą zimę młóciemy cepami u rolników, dziesięć kilo od kwintala, na takie trudne czasy to bardzo dobrze, no i całodzienne życie. Przychodzi bardzo wczesna wiosna. W marcu można już posiedzieć na ławce przed domem, a tak się złożyło, że każdy miał swoją ławkę. Ja z rodzicami chodzimy do Skierniewic kopać ogródki no i mamy swoją działkę. Też ile zarobił to zarobił, grunt życie dostał i aby tę wojnę przeżyć.

Pan Pokrop co dzień przywozi świeżą gazetę, do tego dużo wiadomości ustnych, że dni bardzo szybko płyną. Ja jestem co drugi dzień w Skierniewicach. To się robi u kogoś przy jakimś porządkowaniu, mamy już duże znajomości. Dobrze się robi z dobrą marką, to jedni drugim stręczą. Zawsze idę na dworzec, obserwuję pociągi, z czym jadą na Warszawę a z czym na Koluszki. Na Warszawę dużo wojska w różnych ubraniach a na Koluszki złom z frontu, co na platformach, co w wagonach krytych. Wojska niemieckie są przygnębione, widać po ich twarzach. Z ulic są zdjęte te afisze o zwycięstwie Niemiec na wszystkich frontach, bo już słyszać, że ruskie są na terenach Polski, jak Lublin, Zamość. Jest już koniec czerwca, biorą na okopy pod Warękę. W mojej wsi dwudziestu chłopaków, mówią że na dwa tygodnie, ale pouciekali po paru dniach, bo byli ostrzeliwani przez samoloty radzieckie.

Zaczyna się robić ciepło i w atmosferze i na froncie. Dużo przyjeżdża ludzi z Warszawy i okolic podwarszawskich i już trochę więcej wiadomości przywożą, że już są ruskie w Legionowie i Radzyminie. Zaczyna się robić popłoch, jak to będzie jak przyjdą ruskie, jakie się wytworzą walki. Już teraz biorą na okopy nad rzekę Rawkę koło Skierniewic. Wysiedlonych nie biorą ale ja zostaję przez gospodarza wynajęty i jadę. Mam być tydzień. Kwatera w majątku Kamion w stodole. Kopiemy rowy przeciwczołgowe, cztery metry szerokie i cztery metry głębokie. Najpierw kopie się środek, jedni drugim ziemię podają i odnoszą ją na pewną odległość. Pilnują żółte z SS, organizacja Toda. Jeden dzień przeleciał dobrze. Na podwórzu zupa, każdy chętnie bierze i je. Spać w stodole, słoma starta na sieczkę.

W tej stodole jest nas dobrze ze sto pięćdziesiąt chłopów, kobiet, chłopaków i dziewczyn. Jedną dziewczynę zapoznałem, miała na imię Zosia Struga z Borowin koło Skarbacichy. Pięknie śpiewała i ja, jak żeśmy przy sobie ten

rów kopali i śpiewali tę piosenkę „oj bieda, bieda będzie, dokąd wojna będzie”. Przechodzi się ten esman i puka się w głowę i do siebie coś mówi. „Faryk” - to znaczy głupie my, że taka klęska a nam się chce śpiewać. Na wieczór przychodzimy po kolację, już się robi szaro. Dają zupę i jeszcze gorzałkę. Każdy bierze ile chce i w co ma, tak i ja też sięgnąłem garnuszek. Bractwo się popiło, śpiewają. Coś jak bym przeczuwali we trzech i żeśmy nie poszli spać do tej stodoły tylko tam były takie małe chlewki. Był tam len w snopkach i żeśmy się położyli, trochę przysypiamy a tu budynki są obtoczone wojskiem, samochodów pełne podwórko ciężarowych i wszystkich wyganiamy z tej stodoły i z dużych obór i ładują i wiozą gdzieś w nieznane. Pojechała i moja Zosia śpiewaczka.

Do nas trochę jeden zajrzał, niczym nie szturał. Drugi stał przed tym chlewkiem i mówi, że tu chyba nie ma bo tak cicho i poszli do samochodów. My bez jedzenia i picia po cichu siedzimy w tym chlewku, bo Niemcy się kręcą po całym podwórku. Jest dużo oficerów różną rangą, coś do siebie mówią, a my czekamy nocy i trzeba uciekać. Jest duży strach ale nie ma rady, może się uda, kto ryzykuje, w kozie nie siedzi. Wychodzimy wszyscy trzej, jest cicha, ciepła, gwiazdzista noc lipcowa. Nie idziemy do szosy bo może być warta tylko po cichu za stodołę. Już jesteśmy dwa dni to się zorientowałem, w którym kierunku Skierniewice. Najgorzej, myślimy, jak przejść rów przeciwczołgowy, do niego wejść to łatwo ale wyjść bez pomocy to ciężko. Idziemy tym rowem w tę noc, znajdujemy szpadle akurat trzy, pewno nasi koledzy rzucili jak uciekali w dzień, ale my nocą - to skarb. Tak że jeszcze szaro przechodzimy ulice Skierniewic i trochę polami i do domu. Opowiadamy jak i co zaszło. Jeden Olek Ceron to się znalazł w Archangielsku, za dwa lata wrócił.

Są ciepłe dni lipcowe, zaczynają się żniwa. Zboża jak zimowe tak i jare ładnie porosły, bo była wczesna i ciepła wiosna. Rolnicy się przygotowują do żniw, kosi ostrzą chłopcy, a kobiety z sierpami do zbierania. Wojska radzieckie podobno są już na Pradze, taką nowinę przywozi nam pan Józef z kolei, co wraca z pracy do Nadleśnictwa Zwierzyniec. Przyjeżdża dużo wojska na wypoczynek ale jest tam dużo własowców. My się z ojcem zatrudniamy do młocki cepami, dziesięć kilo zboża od metra, jakie zboże młócimy, takim nam płacą, przenica przenicą, żytem jak żyto lub owies. Robota dobra no i życie całodzienne, co tydzień wypłata. Nieraz do nas przychodzi pan nadleśniczy Jan Niekraś, bardzo sympatyczny i miły człowiek. Dużo z nami rozmawia o polityce, jak to ona może się potoczyć.

Zapoznajemy się z własowcami, zwłaszcza z tymi, co robią w kuźni. Jest taki stary kuźniec, czyli kowal, z nim ojciec najczęściej rozmawia po rusku.

On też był w czternastym roku na wojnie, tak że mają sobie dużo coś powiedzieć. Kiedy obydwaj są i rozmawiają, on ojca ostrzega żeby się coś nie wygadał przy tych młodych. Mówi, że to nie są ruskie tylko radzieckie, ci młodzi, oni są wychowani w duchu radzieckim. Ten kowal ma trzech do pomocy, taki Aleksiej nauczyciel ze Smoleńska, Sasza i Piotr z Żytomierza. Już na drugi dzień nam proponują żeby przynieść gorzałki to coś od nich kupimy.

No i wzięliśmy dwie butelki, oni nam przynoszą dwa ubrania wojskowe i dwa nowe koce. Mamy plecaki zapakowane i do domu. Mama ufarbowała, różne odznaki odprute i już w tym chodzimy. Nie wiadomo czy kto poznał, ale nie mieliśmy z tym kłopotów, tak że ten handel nam się udawał do Nowego Roku i ta robota była bardzo popłatna, bo się dwa razy zarabiał. Na te mundury niemieckie był popyt, żeśmy nie przyszli, to już na nas czekali. Najwięcej odbierał ten mój Maciejak Stefan, za którego się wstawiłem na Prusy. On był w AK i gdzieś znów je dostarczał. Jednego razu gdy idziemy do domu na wieczór, a naprzeciw nas idzie trzech oficerów niemieckich z psem. Pies leci do nas, ale nie przyszczuty. Ojciec do tego psa po niemiecku, to on nas powąchał. My nic się nie rozglądamy, idziemy śmiało, nadchodzimy, ojciec mówi "moin", oni odpowiadają i my idziemy, ale nam się tak ciepło zrobiło jak żeśmy się zrównali. Jak żeśmy parę kroków przeszli, nic nie mówią, no to żeśmy złapali powietrza, bo co by było, gdyby nas zrewidowali. Oni nas tam widywali często to byli pewni, że my nic podejrzanego nie niesiemy.



Aniela Pokora - sąsiadka i siostra Maciejaka z Woli Makowskiej a córka gospodyni z pierwszej kwatery po wysiedleniu.

Czasy Powstania Warszawskiego

Jest piękny, ciepły i suchy dzień, pierwszy sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziesty czwarty. Idzie dużo ludzi od stacji kolejowej w Skierniewicach. Opóźnił się i pan Pokrop z roboty i wszyscy przynoszą wiadomość, że w Warszawie wybuchło powstanie o godzinie piątej. Z relacji wynika, że nasi górali, opanowali wszystkie strategiczne stanowiska, tak że każdy na duchu zostaje podniesiony. Jak dostaje się taką wiadomość, Ruski za Wisłą, to koniec z Niemcami. Mija sobota i niedziela bo powstanie wybuchło w piątek a ruskie nie pomagają naszym. Jesteśmy zostawieni na własne siły a wiadomo co to za siły. W lesie to co innego a nie w mieście. No ale walki się toczą, Warszawa się pali, czuć czad aż w Skierniewicach. Te walki to tylko na wyniszczenie ludności i domów.

Ruskie stoją i się przyglądają jak się krwawią Polacy. Jest tam nasza armia Kościuszkowska pod dowództwem Berlinga Zygmunta ale Stalin powiedział "niełzia i niełzia". Niemieckiej przerwy jest mniej, za to zza Wisły jak to się przegrupowują itd. Pan Prokop przywozi nawet piosenki: „płynie Oka jak Wisła szeroka”, „Z młodej piersi się wyrwało z wielkim żalem i w rosterce i za wojskiem poleciało zakochane czyjeś serce”. Ja te piosenki umiem, je nucę.

W poniedziałek żeśmy do tej młocki nie poszli, bo od rana padał deszcz, a jak wilgotno to słabo zboże się młóci, to i nie poszlim. Deszcz pada ciepły, ale mokry. Do naszego domu przychodzą dwie kobiety z dziećmi. Siostry. Jedna ma jedną córkę z lat trzynaście, a druga dwoje dzieci, chłopiec około lat dziesięciu a dziewczynka z osiem. Są przemoczeni, proszą o nocleg, a już jest zarządzenie ogłoszone żeby nie pomagać powstańcom lub ich rodzinom. Gospodarze się boją ale ja, co mnie może grozić jak ja nic nie mam. Idę do gospodarza, mówię o słomę i nocujemy. Nas jest też pięć osób no i ich też pięć. Cośmy mogli i czym mieli, nakarmili i nakryli do spania.

Rano proszą żeby ich odprowadzić do Makowa. Zostawiają mi taki jasny płaszcz męski i poszlim. Mówią po drodze, że mają rodzinę w Końskich i tam chcą się dostać. Trzeba się jakoś dostać do Koluszek i stamtąd jakieś będzie połączenie. Pożegnaliśmy się i koniec, do dzisiaj nie wiem. Tak się składało, że ja mieszkałem na brzegu wsi. Kto tylko szedł, czy z miasta, czy z lasu, to się obracał do mnie, a ja miałem czas i wszystkich ratowałem czym miałem.

Na froncie wschodnim jest cicho, ruskie stoją w swoim miejscu, gdzie stanęli. Powstańcy się wykrwawiają. Jest w Pruszkowie obóz dla ludności Warszawy. Pan Prokop najczęściej dostarcza wiadomości. Minał sierpień i wrzesień, Warszawa się broni i walczy ostatkiem sił. W Pruszkowie coraz więcej warsza-

wiaków, no i w okolicy. W Skierniewicach jest biuro poszukiwań ERGO. Przez te biuro się odnajdują rodziny, jest to bardzo skuteczna informacja. My z ojcem w tym nadleśnictwie młóciemy. Gdy rano zajdźmy do pracy to już w snopkach mamy towar, oni odbierają bimber. Dużo tych wojskowych nas zna i my ich, ale głównymi łącznikami są ten kowal i jego pomocnicy. Ojciec nie może się ugadać z kamratem. Z młodszymi ten stary nie każe się ugadywać, bo to nie są Ruski tylko radzieckie ludzie.

Jest początek października, pada drobny deszcz. Wyszedłem przed dom trochę popatrzeć. Coś piszczy, od lasu idzie człowiek z metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany, tylko niedożywiony, grabie trzyma w ręku, trochę dziwny człowiek. Deszcz pada, jesień a on z grabiami, mniejsza z tym. Mówi mi dzień dobry, odpowiadam i proszę czy by nie mógł przy mnie usiąść. Pozwalam, proszę o wodę, idę ale myślę, pewno on będzie chciał coś zjeść. Jestem sam, rodzice i gospodarze są w mieście. Wie pan niech idzie ze mną do mieszkania. Szara kawa była zawsze na kuchni. Leję garnuszek tej kawy, kawałek chleba, dobrze słodzę, bo cukru jest do syta. Chłop chętnie je. Gdy się najadł odpina koszulę, a tu gnaty widać na całych piersiach, wielka rana. Jest lekko ubrany a tu jesień. Mówi, czy by nie mógł się u mnie zostać. Ja mówię, że to niemożliwe gdyż ja jestem wysiedlony i sam kątem mieszkam. Mówię, niech pan poczeka aż z miasta wrócą gospodarze i moi rodzice.

Chłop chętnie zostaje w cieple, najedzony. Po jakimś czasie przyjeżdżają. Ja pomagam gospodarzowi konia wykladać i mówię, że mam bardzo potłuczonego człowieka. Gospodarz na mnie z gębą, że nie było nikogo, to już znalazł jakąś przybłędę. Niech pan zobaczy jaki potłuczony. Przyszedł, zobaczył i zmiękł, zmienił zdanie. Czy głodny? Ja mówię, już jeść dałem. To daj jeszcze i zaprowadź na oborę. Obora nowa, ma welbunek, jest dużo siana. Dostaje jakiś sukmanek, poduszkę i niech się kuruje. Jeszcze się nie zrobiło ciemno, on mnie woła, czy bym się nie postarał mocnego bimbru. Daje pięćdziesiąt złotych, a bimber kosztował czterdzieści, ja resztę oddaję, on nie chce brać. My go ostrzegamy żeby się nie pokazywał w dzień tylko w nocy niech się przewietrzy. Za parę dni daje na drugą butelkę, myślę że może pije a on się nim smaruje.

Kiedyś wszedłem do niego na te obory, pokazuje jak mu się ładnie goi i mówi, że we dwóch ich wyskoczyło z pociągu, który ich wioził w nieznane, ale na pewno się domyślał, że do Oświęcimia. W nocy wyskoczył na drugi tor i tak się potłukł. Gdzieś już był w nocy na Makowie bo skądś miał grabie i trochę wypoczął. Ponieważ Maków na ruchliwych szosach to przyszedł do mnie i mieszka na tych oborach. Rany się ładnie goją, chłop wypoczywa. Dowiaduje

się, że my handlujęm niemieckim ubraniem, mówi żeby i jemu przynieść i przynieśli. Mama farbuje i poprawia według jego miary, bo mama jest krawcową. Przynieśliśmy ubranie i jeden koc. Za wszystko płaci dobrze, my się trochę wzdragamy, że on biedny a on każe brać. Tak wspólnie żyjemy już dobre dwa miesiące. Ja jemu noszę rano jedzenie a gospodarz na wieczór.

Aż on jednego razu mówi, żebyśmy wiedzieli kto on jest to byśmy go nie trzymali, no że on jest Żydem. Pokazuje mi dowód osobisty, nazywa się Aleksander Ajnlegier. Ja to mówię gospodarzowi, zrobiło nam się niedobrze ale co mamy robić. Już się do niego przyzwyczailiśmy i on do nas. Jest już grudzień, po wsi coraz więcej kręci się różnego wojska, on się denerwuje i my też. Co może być jak się coś przeoczy, to koniec, nie będzie tłumaczenia. Taki Urbaniak Władysław przetrzymywał dwoje żydziaków w zimę w oborze a na lato wywoził do lasu. Była taka kępa gęstego zagajnika i tam te żydziaki, dziewczyna z jedenaście lat a brat z osiem, dziewięć lat. Już żyli ze trzy lata aż ktoś doniósł do gestapo. Przyjechali z psami, obtoczyli, strzelanina i dzieci wyszły, zastrzelili na miejscu i tam musieli chłopcy i zawalić. Urbaniak był kryty bo nie był spalony.

Mój Żyd się ładnie wykurował, doszedł do siebie, jest dobrze ubrany na zimę w wojskowe ubranie pofarbowane. Ma dobre buty i ma pieniądze. Tak jest, że taki potłuczony, obdarty przyszedł i miał czym płacić to mój ojciec mówił, że Żyda to się dwie rzeczy trzymają, pieniądze i wszy. Tak było i z moim. Jest grudniowa goła mrozica, dni krótsze coraz. Jest gdzieś koło dziesiątego grudnia, prosi o więcej chleba, dostaje i mocno rano odchodzi w kierunku Skierniewic i ślad po nim zaginął. Ja pisałem do Izraela, to mi dali odpowiedź, żeby dwóch świadków mi podpisało, to mi dadzą ten medal „szczęśliwy wśród narodów świata”. Potem odpisali, że w kartotekach sprawdzili i takie nazwisko nie figuruje i tak się zostało.

Jak ja byłem w Treblince i widziałem moc pomników żydowskich ze wszystkich miast Polski i Europy. Na tych kamieniach pisze z jakiej miejscowości tam ginęli Żydzi. Krematorium rozebrane. Ta rampa, gdzie były te wagony pchane przez parowóz i ci Żydzi wyganiani do łaźni a to nie była łaźnia tylko komora gazowa. Rozmawiałem z tamtymi ludźmi, to nie można było jeść ani spać, taki straszny swąd, nie do opisanie. Ci mieszkańcy mówili, że była jakaś rocznica tej tragedii żydowskiej to się tyle najechało tych Żydów z całego chyba świata. Tyle płaczu, lamentu, krzyku w różnych językach, „maj móler, maj mama”, że nie można było wiedzieć co, tylko płacz i lament, a samocho-

dów z różnymi rejestracjami. Przez trzy dni wszyscy oglądali najwięcej tę rampę i ja też, tę rampę, na której każdy postawił sam nogę ostatni raz.

Tak było z tym moim Żydem, na pewno ukrywał się gdzieś w Warszawie do powstania. Potem jak zagarnęli do Pruszkowa, tam go rozpoznali, że jest Żydem i wielu innych. Już Treblinka była nieczynna to kierunek Oświęcim, no i po drodze wyskoczył. Trafił do mnie, u mnie doszedł do pory i poszedł. Gdzie poszedł, nie wiem, czy było to jego prawdziwe nazwisko, też nie, tak się skończyło z Żydem.



Budynek olejarni Szczepana Maciejaka w Woli Makowskiej. Wszystkie urządzenia mieściły się wewnątrz budynku a praca odbywała się nocą.

Nastają czasy „za Ruska”

Nasza robota w nadleśnictwie jeszcze jest no i handel też. Zbliżają się święta Bożego Narodzenia. Wszyscy się przygotowują do świąt z jedzeniem i bimbrem, tak cywile jak i wojsko w Zwierzyńcu. Na froncie nad Wisłą spokój. Trochę jeszcze biorą na okopy ale już nie z takim duchem. Na Mokrej Lewej jest budowana bocznica kolejowa gdyż w Skierniewicach jest bardzo duży ruch pociągów. Puszczają przez Mokrą do Łowicza. Niemcy nie łamną się w Zwierzyńcu, reperują wozy konne i samochody. Nasz kuźniec ze swoim zespołem ma dużo roboty. Kiedy się zajdzie do tej kuźni to ich pogania jakiś oficer ukraiński i nas przegania. Dookoła Skierniewic są budowane bunkry na obronę gdy zajdzie potrzeba jeszcze dla obrony.

Przychodzi rok 1945. Józef Pokrop jak pracował tak pracuje. Wiadomości przywozi, że w Skierniewicach na rynku przed magistratem jest szubienica, na której wisi dwudziestu paru chłopów, najlepszych działaczy AK. Są pochowani w lesie zwierzynieckim. Po froncie była ekshumacja i zostali przewiezieni na cmentarz skierniewicki Świętego Józefa. Nasz Nowy Rok mija w spokoju. Na froncie cicho ale przychodzi ruski nowy rok, jest na Trzech naszych Króli.

Ojciec i ja postanawiamy do siebie zaprosić tych Rusków, z którymi tak żeśmy się zżyli. Nie jest daleko to i przychodzą. Stary kowal, ojca towarzyszy z pierwszej wojny światowej. Sasza chłop z metr osiemdziesiąt, dobrze zbudowany. Ten nauczyciel ze Smoleńska Aleksiej i ten kirgiz Wania. My żeśmy się przygotowali tak z jedzeniem jak i bimbrem. Szara kawa, chleb no i kapusta, tak że ładna gościna się zanosi, tak gdzieś do godziny ósmej. Gospodarzy nie ma, są u brata na gościnie z dziesięć kilometrów. W domu nie jesteśmy skrepowani, zawsze to nie w swoim domu. Z ojcem śpiewają różne pieśni wojskowe, „Wołgo, Wołgo mać radnaja” i wiele innych.

No i dochodzi godzina ósma. Stary kowal mówi „rebiata pajdziem”, gdyż ci dwaj mają wartość. Żegnają się i odchodzą a Sasza nie chce iść. Oni mu tłumaczą a on nic tylko „dawaj gralki”. Nie idzie tylko zostaje i drze się, „dawaj orałki”. My już nie mamy, ojciec mu tłumaczy a on jak nie złapie jakieś drewno i za namy po chałupie. My kryjemy się gdzie kto może a on krzyczy, że zareza. Widzimy, że tu nie przelewki. Ja się poderwałem pierwszy i cała rodzina za mną, to jest, ja, rodzicie i dwie siostry dorosłe, mniejsze dzieci po kątach się chowały, i Saszę do sieni całą siłą. On się nie daje ale jest mocno pijany to idzie z nim sobie poradzić. Z sieni na dwór są schody, duży kamień u góry a niżej

mniejszy i z takim impetem go wypchaliśmy na te schody i siłą na podwórko, aż jęknęło coś w tym Saszy. Ale nie daje za wygrane, do drzwi i pcha się z powrotem do nas. Zasuiliśmy zasuwkę, wyrwał, całym domem trzymamy te drzwi a Rusek pcha. Drzwi ustępują już lepiej z piętnaście centymetrów, on się drze, że zareza, to my trzymamy mocno. Nie może nas przemóc. Odchodzi trochę na podwórko, coś znajduje, jakiś pieniek. Jak nie rąbnie w ścianę, a był dom drewniany, dwa okna pobok, bo takie te domy były budowane, tak że osiem szyb wyleciało z tych okien.

Tak żeśmy się pogościli z tymi Ruskami, by się odrzec ich. Była tam siostra gospodyni, Weronka i z krzykiem na nas, że tak się nam chce gościć z ruskimi. Przyjeżdża gospodarz w nocy, ta siostra im opowiada jak to było, gospodarz daje nam nie gorzej. Okna płachtami zatykają i przez noc śpią słabo i my też nie gorzej. Ja rano biorę miarę na szyby i idę do Makowa do szklarza, płacę i idę z powrotem a tu z przeciwka jadą czołgi radzieckie. Takie wielkie i tak dużo, jeden za drugim. Ci żołnierze mówią „zdrastwujcie towarzysz, skolko kilometrów Berlin”. Już nie mogą się doczekać Berlina. Ojciec poszedł do tego nadleśnictwa, jakby makiem usiał. Ja przychodzę, zaprawiam tamte szyby, ojca nie ma. Poszedłem i ja a tu jak nie zaczną strzelać Niemcy z dział na Skierniewice. Tu już ruskie ich minęły a oni dopiero otworzyli ogień.

My się z ojcem kryjemy ale jest niedobrze. Nie wiadomo czy nas widzieli, czy nie ale mogli by nas tam zastrzelić bo było słychać i pepesze. Były tam trzy sarenki to nie miały się gdzie podziać, przeskakiwały tę drogę parę razy. My po mału i na pola z tego lasu. Samoloty latały nad nami ale nie strzelały do nas. Jak żeśmy przyszli to byliśmy dobrze mokrzy ze strachu. Była gdzieś godzina pierwsza. Tak gdzieś o jakiejś trzeciej to jak się wysypali ruskie to jak mrowia, gdy się trochę je poruszy. Z lasów nieboroskich tak szli całymi polami do dobrej szarówki. Jak przeszła ta piechota, potem ciągniki, te sagany, z kaciuszami i amunicją, całą noc.

Cała żywność tych Rusków, kapusta kiszona, kartofle kazali gotować w czym się da i w torbach z kilo grochu burego. Taki prowiant do jedzenia i druga torba amunicji do pepesz. Spali w stodołach, oborach, a dwóch oficerów to mieli konie, jechali na nich. Gdy tak siedzą i jedzą przychodzi jakiś żołnierz i pokazuje, że mu się rozwalily buty, to jeden za pistolet i do niego „uchadzij bo zastrelu”. Żołnierz się prędko wynosi, ojcowi mówi, że iwreje to jest Żydzi, dobrze rano odjechali.

W kierunku Łodzi szosami jadą tylko samochody, małe grupki kozaków. Dwa czołgi się zostało, chyba się zepsuły, stoją lepiej z tydzień z całą

załogą. Ojciec tam do nich parę razy zaszedł i się rozgaduje, myśli że to ruskie, a ten kowal powiedział, że to nie ruskie tylko radzieckie. Mówi im, że się celowo zostali aby nie jechać na front i przyszedł do domu. Nic nie przeczuwa a tu wpada jeden z żołnierzy tej załogi, a wiedział gdzie my mieszkamy i krzyczy, stary uciekaj bo idą po ciebie i cię odstawią do wojennego komendanta. Ojciec za stodołę się schował i zaraz przyszli. Ojca nie było to poszli, na drugi dzień odjechali na front. Wtedy ojciec sobie przypomniał słowa kowala, że z młodymi Ruskami nie trzeba się rozgadywać.

Ci nasi przyjaciele nie są tacy szczerzy, choć jakiś uraz mają do nas. Zaczynają wylapywać różnych działaczy o podłożu przeciwnym radzieckiemu. W Skierniewicach na dworcu moc ludzi, którzy powracają z niewoli, rozmawiają różnymi językami, mają różne znaki swej narodowości. Pociągi chodzą tylko do Pruszkowa i Koluszek gdyż są tory pozrywane, ale kolejarze pracują. Mój pan Pokrop też przyjeżdża raz i mówi, że już jest połączenie z Warszawą. Więc po trochu się przygotowujemy do odjazdu, jak się mówiło, na swoje.

No i dwudziestego marca odjeżdżamy. Ten gospodarz nas odwozi na dworzec swoim koniem, dobrze po obiedzie. Tak że do pociągu żeśmy wsiadali, było już dobrze ciemno. Wagony węglarki, pełne wagony ludzi. Jedziemy całą noc do Warszawy. Rano z tłumokami na pieczę na Targówek przez most pontonowy. Tam czekamy cały dzień. Jest ciepły, jasny, marcowy dzień. Przed wieczorem przychodzi kolejka ciuchcia i wszyscy wsiadają, gdzie się da, pełne wagony, na buforach, na dachach. Czepia się każdy gdzie się da. Dojechalśmy do Radzyna ale nie do samego, z dwa kilometry przed. Tak resztę do dworca znów na pieszo żeśmy doszli dobrze w nocy i czekamy na pociąg z Małkini, Legionowo, Modlin i Ciechanów.

Ludzi mrowie, różni uciekinierzy, handlarze, niewolnicy, no i my wysiedlone. Ludzie ucha dokładają do szyn, czy jakiś pociąg nie idzie, no i jeden raz idzie ale się nie zatrzymuje tylko trochę folguje. Kto raźniejszy i sam wskazuje, ale my taką rodziną, nie poszedł. Czekamy, za jakie dwie godziny idzie drugi. Są to pociągi radzieckie wojskowe, jadą na Berlin, dużo wojska ruskiego i polskiego. Z tyłu są dwa breki dla ludności cywilnej, ale miejsc nikt nie poszukuje tylko gdzie się da. Pośrodku pociągu są dwa wagony platformy. Na jednym jest parę samochodów a na drugim rozebrany samolot. Więc wsiadamy na ten, gdzie są te samochody. Nie ma żadnego wojska, jest noc zimna, parę stopni mrozu, tak jak w marcu. Żeśmy trochę się skryli do samochodów, aby cieplej i siedzimy. Odjeżdżamy do stacji Łajskie.

Pociąg się zatrzymuje, wojsko przechodzi się koło pociągu i zobaczyli nas, żeśmy na tej platformie i jeszcze w samochodach. Krzyk po polsku, pepe-szę zciaga z pleców i mówi, że powystrzela nas, gdzie my żeśmy weszli na wagony wojskowe, a dwóch zwała nas jak worki na ziemię. Pociąg stoi, żeśmy się pozbierali i ruszamy całą rodziną do przodu. Nie ma gdzie się załapać, ludzie siedzą na buforach. Jest noc gwiaździsta i mroźna a my leciem do przodu, patrzem, parowóz stoi z brekiem węgla. Żeśmy się wdrapali i po cichu siedziem. Aż tu przychodzi palacz, co węgiel ładuje do parowozu i nas zobaczył. Taki wielki ten Rusek jak ten Sasza i dnie się „job wasza mać”. Wpada jeszcze drugi i znów nas zrzucają ale jeszcze silniej jak z tego wagonu. Ojciec daje pół litra bimbru a oni jeszcze gorzej krzyczą i zwalają, a ruskie pociągi to nie nasze, są bardzo wysokie.

Pociąg jeszcze stoi a my na ziemi całą rodziną. Nie próbujemy szukać miejsca, tak żeśmy załamani. Parę minut i pociąg poszedł w kierunku Legionowa. Jest noc zimna. Wszyscy odjechali a my całą rodziną w lesie nieznanym. Wszystkim się zbiera na płacz ale nic nie pomoże. Trzeba iść do przodu, no i idziemy. Cały świat się nam oberwał na głowę. Nikt nikomu nic nie mówi i się nie żali. Toboły na plecy i idziem. Robi się trochę widniej, zaczyna się rozwidniać. Wychodzimy z lasu, las jest mocno zniszczony przez pociski. Jest dużo mogił radzieckich żołnierzy, słupki z gwiazdkami. Już słońko wschodzi, robi się widno, patrzem na tory i nie mogę dowierzyć. Stoi ten sam pociąg, z którego nas zwalili dwa razy, to my leciem ile kto ma sił żeby do tego pociągu dolecieć. Dopadliśmy go i na te wagony z tyłu co są przeznaczone dla cywilów.

Dużo tych cywilów chodzi koło tego pociągu, nikt nie wie kiedy ten pociąg odjedzie. Ojciec się pyta tych Rusków i Polaków co nas zwalali, „nie znaju”. Są bardzo dobrzy, przynosi ojciec kubek pęczaku gotowanego, dobrze kraszonego. Żeśmy się dobrze gorącego najedli i jeszcze i inni przy nas. Dwa razy kawy czarnej. Nie ci ludzie co byli w nocy. Czekamy cały dzień. Pociąg stoi. Przed wieczorem sygnał i wszyscy, gdzie kto może, siada i jadziem na Modlin. Przejeżdżamy Wisłę, zatrzymujemy się przed mostem bo idzie pociąg w kierunku Warszawy. To ile na tym pociągu jechało ludzi a był też wojskowy, pod czołgami, na lufach dział, gąsienicach. Przeszedł i wtedy puścili nasz. Jedziemy aż do Nasielska. W Nasielsku stoi parę pociągów, dwa z niewolnikami niemieckimi, pokazują, że chcą jeść, zarośnięci, brudni w bydlęcych wagonach. Pełno ruskiego wojska się kręci po torach.

Jest parę pociągów w kierunku Ciechanowa. Nie wiemy, który pójdzie pierwszy ale się trzymamy tego swojego, no i jeden raz rusza i jadziem na

Ciechanów. Dojeżdżamy do Świerszcz, pociąg się zatrzymuje, Ruski się dą, że ktoś wiezie granaty i wszystkich do rewizji. Na stację zwalają a oni po dniu zauważyli ładne kobiety. Pięć sobie odebrali, zabrali je do wagonów swoich, wiadomo po co i z powrotem wszystkich do wagonów. Był tam jakiś człowiek chory, ktoś go przycisnął to jak on się przeraźliwie darł, to jeszcze dzisiaj słyszę. Rano jesteśmy w Ciechanowie. W Ciechanowie na stacji jest dużo niewolników niemieckich, proszą o chleb, niektórzy im dają.

Wychodzimy dalej od stacji, jest taki duży obóz niewolników niemieckich za drutami. Nasza ciuchcia idzie aż na wieczór do Przasnysza, tak że rano jesteśmy w Przasnyszu na stacji. Idziemy na szosę Baranowską. Jest człowiek na młynie z Jednorożca, nazywał się Gwiazda Władek. Przywiózł nas do Szli.

Zaczyna się tworzyć Władza Ludowa i wszystkie organa związane z tą władzą. Wojska Radzieckie po zwycięstwie biorą co jest potrzebne do gospodarki i wiozą, i gnają na wschód. Między innymi było całymi stadami. A już była wiosna i lato, nie było trudności z żywieniem. Wszystkie łąki przy szosach były wypasane. Takie stado bydła pasło się i nocowało przy rzece Ulatówka, między Małowidzem a Ulatowo Pogorzel, pilnowane i gnane przez kilkunastu żołnierzy Krasnej Armii.

A trzeba wiedzieć, partyzantka też działała i tamto stado bydła zostało rozbite. Dużo krów chłopci wzięli do Jednorożca, Pogorzeli i Małowidza. Rano Ruski resztę zegnali i pognali dalej. Jednego byczka z trzysta kg partyzanci wzięli ze sobą. Znaleźli się z nim w Lipie w lesie Barania Góra. Upłynęło lepiej z dzień. Ktoś poskarżył do Przasnysza, do UB i oblawa duża siłą, wozy pancerne, broń maszynowa, że wywiązała się straszna walka. Było jeszcze rano. Daleko było słyszeć strzały z broni maszynowej. Ranek był bardzo piękny, unosiła lekka mgła, piękna rosa na trawie świeciła dużymi kroplami. W Lipie i w okolicy zaczynały się żniwa.

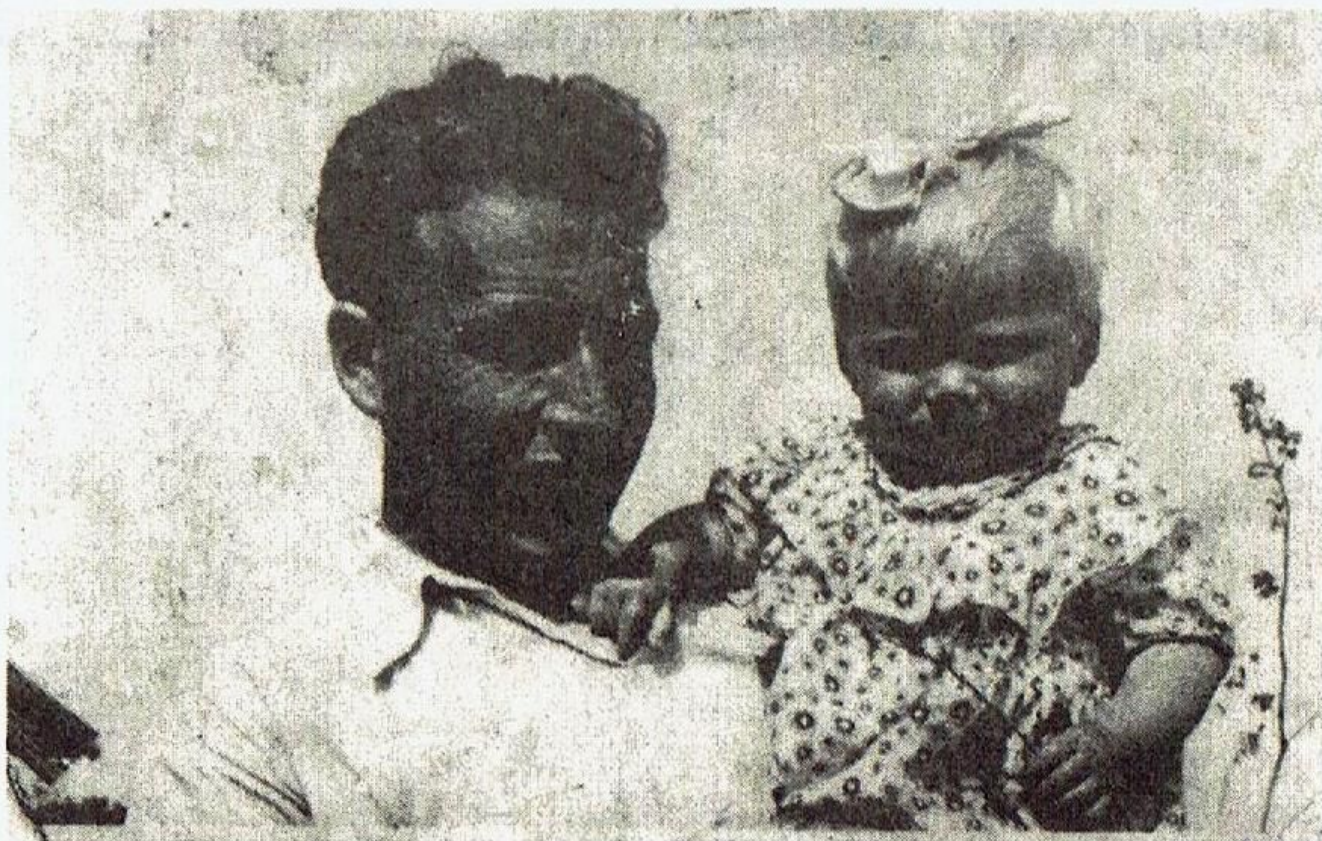
Ja w tym dniu nocowałem we Szli, powracając ze Skierniewic. Idę rano do Karolewa, gdzie ześmy na razie mieszkali. A umówiliśmy się z ojcem, że po mnie wyjdzie, bo miałem trochę ciężko, to mi pomoże. Ojciec znalazł się dużo wcześniej w rejonie tej bitwy. Ojca, to jest Stanisława Cierlińskiego, zagarnęli do ściągania tych żołnierzy, co polegli na placu boju, do kupy. Żołnierze odjeżdżają, ojciec łapie tego byka ze sznurkiem. UB-cy się pytają, co tu robi, co znaczy, że trzyma tego byka? Ojciec mówi, że w nocy go zabrali, no i dali go, a sami odjechali w kierunku Obórk.

Ja idę przy gajówce Mikólskiego, granicą, dochodzę do drogi, która idzie na Obórki. Zatrzymują mnie, legitymują, rewidują, zchodzi się kilkanaście minut. Zobaczył to ojciec, byczka u krzaka uwiązał i leci mnie bronić.

Był jeden ruski i polski oficer a ojciec po rusku umiał dobrze, ale on się zastanawia, jak to, tam ty był, tu twój syn, co to ma znaczyć, pojedziecie do Przasnysza, to tam się dokładnie zbada sprawę, do Wojskowego Komendanta. Ojciec jeszcze raz mówi do tego polskiego oficera jak, co i po czemu. Zostawiają nas, krzyczą ubliżają, ale dwóch żołnierzy wysłali po tego byka i na samochód. Odjechali do Przasnysza a nam aż się źle zrobiło, że mając taki majątek w ręku i nie ma. Trzeba wiedzieć, że w roku 1945 koń, krowa, to majątek, a zwłaszcza taki byk. Długi czas sobie wspominaliśmy to nasze niepowodzenie.

Idziemy w kierunku Karolewa. Żeśmy się obrócili do tych żołnierzy, popatrzyliśmy, takie młode ładne chłopaki. Pomyślałem, może na niejednego matka w domu czeka, rodzina, narzeczona, a oni polegli w Lipie, na Baraniej Górze. Przyszły podwozy i ich zabrali do Jednorożca na cmentarz i są pochowani we wspólnej mogile. Nikt nie widział żeby był ktoś z rodziny na Wszystkie Święta, tylko harcerze trzymają wartę przy tej uroczystości. Muszą być nie z tego rejonu. Służba nie drużba, gdzie który dostał rozkaz, musiał być. Pochowani są pod siatką, na boku. Teraz mają ładny pomnik z napisami nazwisk i imion.

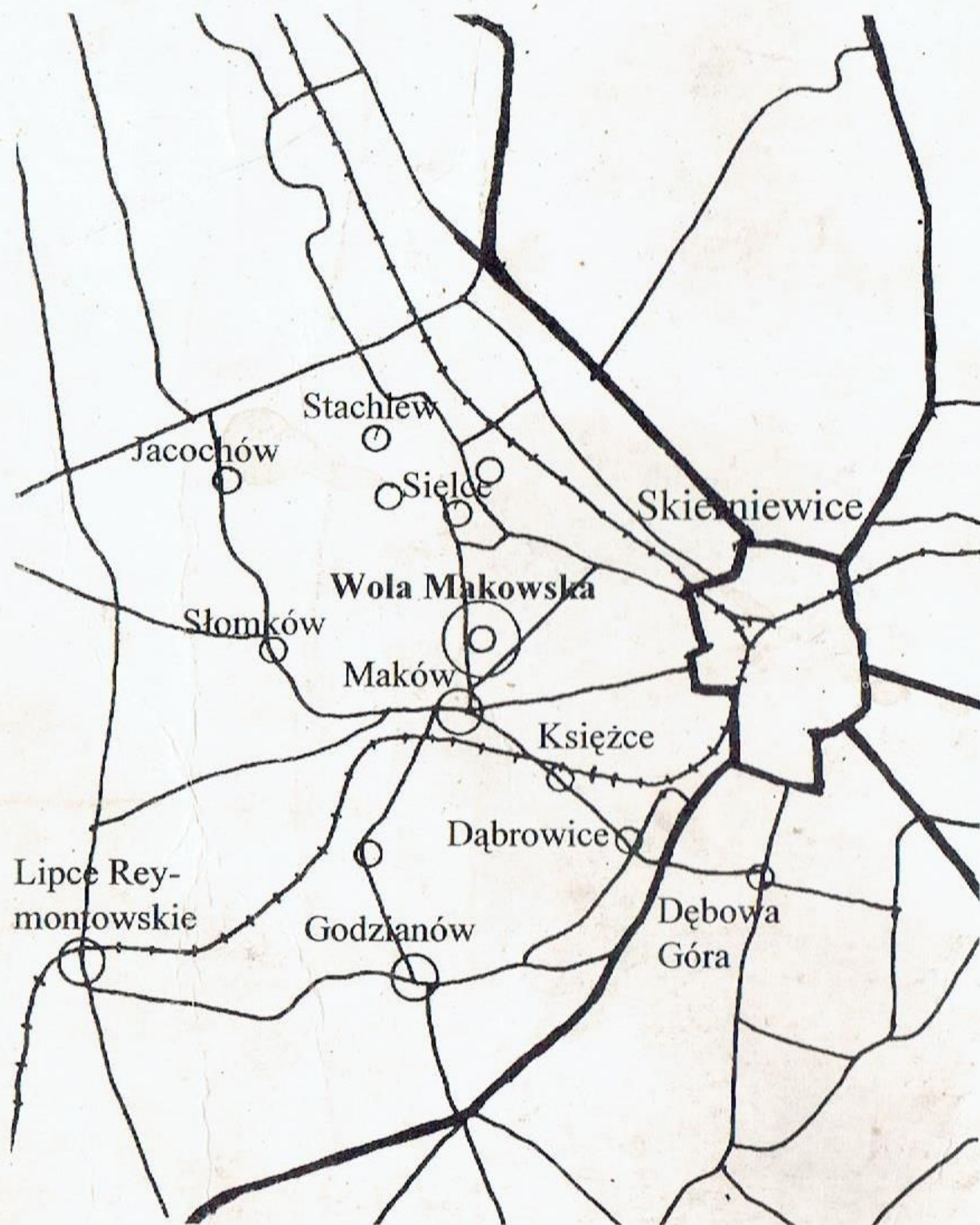
Tak się cała niedola, udręka i wysiedlenie zakończyło.



Zygmunt Cierliński z córką Teresą w Grądach po wojnie.

Spis treści

Wstęp	3
Higiena i zdrowotność	6
Początek wojny	11
Gospodarka „za Niemca”	18
Przed wysiedleniem	20
Wyjazd z Działdowa	25
Na kwaterach	33
Nowa wojna	37
Spółeczność skierniewicka	39
Planowy odwrót	42
Czasy Powstania Warszawskiego	46
Nastają czasy „za Ruska”	50



ISBN 83-900614-3-0